

I S M A I L   K A D A R E

# CÓRKA AGAMEMNONA

Z albańskiego przełożyła *Dorota Horodyńska*

Świat Książki  
Przedmowa

W 1986 roku podczas pobytu w Paryżu Ismail Kadare powiedział mi w zaufaniu, że chciałby ulokować w bezpiecznym miejscu we Francji kilka rękopisów, których publikacja była wówczas w Albanii niemożliwa. Chodziło o dwie mikropowieści, jedno opowiadanie oraz kilka wierszy.

Autor miał ze sobą część tych materiałów. Ponieważ albańskie prawo surowo zabraniało wywozu rękopisów, Kadare zakamuflował teksty w taki sposób, aby wyglądały na tłumaczenia na język albański jednego z zachodnich autorów. W tym celu zastąpił albańskie imiona bohaterów i nazwy miejsc imionami i nazwami niemieckimi bądź austriackimi, a utwór przypisał zachodnioniemieckiemu pisarzowi Siegfriedowi Lenzowi, dość znanemu w Albanii, ale nie na tyle, aby orientowano się, czy to on jest autorem powieści pod tytułem *Trzy K. (Tre K)*, jak Kadarc zatytułował swój utwór, opublikowany później pod tytułem *Cień (Hija)*.

Po pewnym czasie udało się Kadarcemu przemycić dalsze fragmenty rękopisów, ale ze względu na duże ryzyko zabierał ze sobą za każdym razem jedynie po kilka stron. Uzgodniliśmy, że najlepiej będzie, jeśli ja sam przyjadę do Tirany i postaram się zabrać ze sobą resztę materiału. Podczas moich dwóch kolejnych podróży udało mi się przewieźć do Paryża brakujące fragmenty i uzupełnić w ten sposób rękopisy *Cierna, Córci Agamemnona ( Vajza e Agmëmnonit)*, *Odlotu bociana (Ikja shtërgut)* oraz wierszy.

Rękopisy zostały zdeponowane w Paryżu w sejfie Banque de la Cité. W porozumieniu z bankiem Ismail Kadare dał mi klucz do swojego sejfu oraz upoważnienie do otworzenia go w chwili, kiedy uznam to za konieczne.

W owych latach Ismail Kadare, podobnie jak inni, nie wierzył, że doczeka chwili, w której komunizm w Albanii upadnie. Ten depozyt niebezpiecznych rękopisów pozwoliłby jego wydawcy w razie śmierci autora - naturalnej bądź w „nieszczęśliwym wypadku” - na natychmiastową deklarację, że nieznana do tej pory część jego spuścizny lada dzień ukaże się drukiem. Szybkie ujawnienie treści tych rękopisów miało zapobiec ewentualnemu szkalowaniu przez komunistyczną propagandę dzieła i wizerunku pisarza.

Złożone w sejfie we Francji trzy utwory prozą oraz wiersze mówią wyraźnie i bez ambiwalencji to, co Ismail Kadare myślał o albańskim reżimie, o którym wcześniej wypowiadał się w sposób zawoalowany i aluzyjny w powieściach *Pałac Snów* (*Pallatt i Endr- raye*), *Nisza wstydu* (*Kamarja e turpit*), *Koncert pod goniec zimy* (*Koncert ne fund te dimrit*), itd.

Spośród rękopisów wywiezionych do Francji jako pierwsza ukazała się w 1994 roku mikropowieść *Cień*. Autor dokonał w mej niezbędnych poprawek w celu zatuszowania niemieckiego kamuflażu, widocznego zwłaszcza w pierwszej części.

Dopracowane zostały także pewne niedociągnięcia artystyczne pozostawione świadomie przez autora, ponieważ celem, w pierwszej kolejności, było wysianie informacji na zewnątrz, poza granice Albanii.

*Odłot bociana* ukazał się później. W języku albańskim pojawił się jednocześnie w dwóch wersjach: oryginalnej, przemyconej z Albanii, i w wersji poprawionej artystycznie, z której została przetłumaczona na francuski.

*Córka Agamemnona*, trzeci zdeponowany rękopis, ukazała się we Francji w 2003 roku w przekładzie Teda Papavramiego z tekstu z 1985 roku bez najmniejszych poprawek. Mikropowieść ta stanowi pierwszą część dyptyku. Drugą jest *Następca*, napisana w latach 2002-2003. Oba utwory, połączone wspólnymi bohaterami, stanowią jedno z najdoskonalszych osiągnięć Ismaila Kadarego

CLAUDE  
DURAND  
Wydawnictwo  
Fayard

Wydarzenia opisywane w dyptyku *Córka Agamemnona* i *Następca* są niewyczerpanym źródłem ludzkiej pamięci, której bogactwa mogą ujawnić się ponownie w każdej epoce, także w tej, w której żyjemy. Dlatego ich podobieństwo do prawdziwych wydarzeń i osób jest nieuniknione.

AUTOR

1

Z ulicy dobiegała świąteczna muzyka, gwar i przy-  
tłumione kroki przechodniów - ów szczególny hałas,

jaki robi tłum udający się na miejsce zbiórki przed pochodem.

Chyba już po raz dziesiąty odsunąłem nieznacznie firankę i wciąż miałem przed oczami ten sam widok: ludzki potok płynący powoli w kierunku centrum. Nad nim, podobnie jak rok wcześniej, wznosiły się transparenty, bukiety kwiatów i portrety członków Biura Politycznego. Ich twarze wyglądały na jeszcze bardziej zastygłe nad tą masą głów i rąk. I tylko od czasu do czasu z powodu ruchu rąk tych, którzy je nieśli, zdawały się rzucić spojrzenia na boki. Ale nawet kiedy patrzyły na siebie, sprawiały wrażenie, jakby się me znaly.

Zasunąłem firankę i dotarło do mnie, że trzymam w ręku zaproszenie. Po raz pierwszy dostałem zaproszenie na trybunę honorową i podobnie jak w chwili, kiedy mi je wręczano, nadal nie mogłem uwierzyć, że widnieje na nim moje nazwisko. Nie mniej zdziwione były oczy zastępcy sekretarza Partii. Nie można powiedzieć, że wyczierała z nich jedynie zawiść. To była zawiść zmieszana ze zdumieniem. I trudno się temu dziwić. Nic należałem do tych, którzy okupowali prezydium i stawali na świątecznych trybunach. I choć, jak dowiedziałem się później, zastępca sekretarza sam osobiście mnie wytypował, ponieważ komitet okręgowy Partii zażądał nowych nazwisk, a nie ciągle

tych samych, powtarzanych co roku, nadal nie krył zdziwienia. Rzeczywiście podał wśród innych moje nazwisko, ale chyba nie wierzył, że nowa lista zostanie zatwierdzona. Tak się mówi za każdym razem, może powiedział w duchu, ale kiedy przychodzi co do czego, idą ci, co zawsze.

„Gratuluje, gratuluje!” - powiedział, wręczając mi zaproszenie, i w tej właśnie chwili wydało mi się, że w jego spojrzeniu, prócz zawiści i zdumienia, było coś więcej. Jakiś wewnętrzny błysk, w którym dostrzegłem jednocześnie coś podstępnego. Może najlepiej pasowałoby do niego słówko uśmieszek. Krótki, badawczy, trochę szelmowski, ale szczególnego rodzaju, jak między ludźmi, których łączy nic porozumienia. Ten uśmieszek zdawał się mówić: „Tego zaproszenia nie dostałeś za darmo, gołąbeczku, nieprawdaż? Co takiego zrobiłeś, czym się zasłużyłeś? Gratulacje, spryciarzu!”.

To pytanie było tak czytelne, że się zaczerwieńłem. Uczucie rozdrażnienia nie opuszczało mnie przez całą drogę do domu, kiedy kilkakrotnie pytałem siebie: czy rzeczywiście zasługuję na ten zaszczyt?

Uliczny gwar sprawiał, że mieszkanie wydawało się cichsze. Ciche i puste. Wszyscy poszli na miejsce zbiórki przed pochodem i moje kroki zamiast wypełniać jego przestrzeń, tylko bardziej wzmacniały w nim

to wrażenie. Ta cisza i pustka były szczególne, jak wszystko inne w tym dniu.

Czekałem na Suzanę. Jednak to, co mnie dręczyło, wcale nie przypominało niepokoju towarzyszącego zwykle oczekiwaniu na dziewczynę. To było uczucie bardziej przytłaczające, zwiększone zapewne przez muzykę i męczący zgiełk dobiegający z ulicy. Chwilami miałem wrażenie, że któryś z portretów wzniesie się ponad poziom mojego okna, zajrzą do środka namalowane, zimne oczy i usłyszę: „Co tu robisz? Ach tak, czeka na ciebie puste miejsce na trybunie, bo się umówiłeś z jakąś dziewczyną?”.

— Jeśli nie przyjdę do wpół do dziewiątej, nie czekaj na mnie - powiedziała Suzana.

Za każdym razem, kiedy przypominały mi się te słowa, moje oczy mimowolnie kierowały się na kanapę, miejsce naszej ostatniej rozmowy. Przygnębiającej aż do bólu. Suzana była na wpół rozebrana i jej słowa też takie były - na wpół zrozumiałe, urwane w połowie. Coraz trudniej jest jej się spotykać ze mną. Ojciec codziennie pnie się po szczeblach kariery. Obecnie, bardziej niż do tej pory, ich rodzina jest na świeczniku. Przed dwoma tygodniami na plenum Komitetu Centralnego ojciec osiągnął kolejny szczebel. Rozumie się więc samo przez się, że ona



powinna teraz zmienić styl życia, towarzystwo i inaczej się ubierać. W przeciwnym razie mu zaszkodzi.

- Czy to on zażądał tego od ciebie (jeszcze nie wiedziałem, jak „to” nazwać), czy sama tak postanowiłaś?

Spojrzała na mnie przenikliwie.

- On - odparła po chwili - ale...

- Co, ale?

- Kiedy wszystko mi wytłumaczył, przyznałam mu rację.

- Naprawdę?

Czułem, że oczy nabiegają mi krwią, jakby ktoś sypnął w nie garść piasku. W poczuciu winy przyłgnęła głową do mojego ramienia. Jej palce - zimne, wyszczerbione próbówki - głaskały mnie po włosach na karku.

Ale dlaczego, chciałem zapytać, dlaczego właśnie ty? Dzieci innych bonzów partyjnych używają życia ile wlezie. Samochody, tańce w willach nad morzem. Pewnie wykrzyczałbym jej to, gdyby ona sama do tego nic nawiązała. Tamci dają dzieciom więcej swobody, natomiast jej ojciec... On jest naprawdę dziwny. Kto wie, jakie myśli krążą mu po głowie... Ale może wcale nie jest dziwny, tylko takie ma zasady. Tym różni się od innych i właśnie dlatego się wybił. W każdym razie, jeśli na pierwszomajowej trybunie będzie stać po pra-

wej stronie Wodza, to między nami wszystko skończone.

Nie odezwałem się i wtedy pomyślała, że nie do końca ją zrozumiałem. Proszę, zrozum, szlochała. Dla niego, to znaczy dla opinii o nim, jest nie do przyjęcia, że ona wdała się w romans z chłopakiem, faktycznie zaręczonym z kimś innym. Pewnego dnia to się wyda. Zwłaszcza teraz. Rozumiesz? Z pewnością się wyda.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Mój wzrok zatrzymał się na jej gołych nogach.

- Tobie również to zaszkodzi — powiedziała po chwili.

- Nie dbam o to.

- Teraz tak mówisz, ale będziesz żałować. Zwłaszcza teraz, kiedy masz nadzieję wyjechać do Wiednia na specjalizację.

Nadal wpatrywałem się w nagie partie jej ciała. Przyznaję, że nie byłem pewien, czy zamienilibym to białe, gładkie ciało na cokolwiek innego, łącznie z Wiedniem. Pola Elizejskie jej bioder zwieńczone Łukiem Triumfalnym z wiecznym ogniem.

Nigdy nie spotkałem kobiety, która w chwili ekstazy uśmiechałaby się tak słodko, jakby śniła błogi sen. Błogość sphywała z kości policzkowych na białą poduszkę, która, choć pusta po jej wyjściu, zdawała się świecić przez pewien czas w ciemnościach, jak

ekran telewizyjny, który emituje poświęcę nawet parę chwil po wyłączeniu. Wszystko w niej pragnęło miłości pełnej poświęceń, żarliwej i głębokiej.

## 2

Patrzyłem na pustą kanapę, a w moich uszach wciąż dźwięczała odległa świąteczna muzyka. Poprzez nią jak przez aksamitne tło, które tylko zwiększało poczucie utraty, powracały do mnie urywki naszych rozmów.

- Jeśli Pierwszego Maja... Ale ty w żadnym wypadku nie powinieneś się martwić. Nie myśl, że mnie będzie łatwiej... Wiem, co chcesz powiedzieć... Ale to poświęcenie jest konieczne... Nigdy nie przestanę myśleć o tobie.

Poświęcenie, powtórzyłem w duchu. A więc tak „to” się nazywa.

Wierzyłem w każde jej słowo, ponieważ wszystko zawsze traktowała serio i nigdy nie słyszałem z jej ust słów lekkomyślnych, próżnych czy nieszczerých. Jeśli była przekonana, że poświęcenie jest konieczne, próby wyprowadzenia jej z błędu nie miały sensu.

To prawda, że nie podjąłem żadnej próby. Po jej wyjściu całymi godzinami miotałem się w rozpacz po pokoju, aż w końcu zatrzymałem się przed

biblioteczką. Jak w półśnie wyciągnąłem z półki i zacząłem kartkować *Mity greckie*: Roberta Gravesa, które niedawno czytałem.

Ani wtedy, ani później nie byłem w stanie zrozumieć, jaką tajemną drogą mechanizm mojego mózgu odarł słowo „poświęcenie” z banalnego, powszedniego sensu („Towarzysze, czas wymaga poświęceń przy wydobyciu ropy naftowej... Poświęcenie hodowców bydła...” itp., itd.) i dotarł hen, do jego wspaniałych i krwawych początków.

To cofnięcie w przeszłość stało się dla mnie bez wątpienia punktem zwrotnym. Stąd tylko krok dzielił mnie od analogii między poświęceniem, o którym chwilę wcześniej mówiła Suzana, a losem Ifigenii.

Czy to porównanie nasunęło mi się, ponieważ Suzana użyła właśnie tego słowa, czy dlatego że jej ojciec, podobnie jak ojciec Ifigenii, był wysokim dygnitarzem, a może po prostu dlatego, że książka Gravesa pogрузzyła mnie na kilka dni w mitologiczny świat?

Jak już powiedziałem, nie byłem w stanie tego zrozumieć. Stojąc przed półką, gorączkowo, niecierpliwie przeczytałem jeszcze raz wszystko o legendarnym poświęceniu Ifigenii. Od najbardziej wiarygodnych hipotez do najmniej zrozumiałych, dlaczego grecki wódz mógł dokonać tego strasznego aktu, aż do spekulacji

o fałszywym złożeniu w ofierze, czyli przeznaczonej dla wojska inscenizacji (w ostatniej chwili dziewczyna została zastąpiona tanią), itp., itd.

*Grecy w wojnie o Troję  
Ifigenię złożyli w ofierze Na  
oltarzu Rewolucji Złożyłem  
ciebie*

Czy to ja sam wymyśliłem te wersety, gdy po odłożeniu książki z powrotem na miejsce krążyłem udręczony po mieszkaniu, czy też pamięć wyłowila je z jakiejś odległej, zapomnianej lektury? *Rozpacz* często przejawia się u mnie w formie otępienia. Tak też czułem się tego dnia: ospały, niezdolny do racjonalnego myślenia. Nie byłem w stanie, na przykład, skojarzyć nazwiska autora tych wierszy. Podobnie jak tego, kto złożył Suzanę w ofierze, czy ja, czy jej ojciec. Raz wydawało mi się, że on, innym razem, że ja, a najczęściej, że obaj.

Szum dobiegający z zewnątrz osłabi. Widocznie ulica pustoszała. Zapewne tłumy, które szły na defiladę, dotarły już na miejsce. Ale śmiertelna cisza była równie przytłaczająca i wroga jak wcześniejszy zgielk.

Co chwila przypominała mi, że moje miejsce jest tam, wśród świątecznych wiwatów, a nie tu, w samotności.

Minęła ósma trzydzieści. Straciłem już nadzieję, że Suzana przyjdzie. Zawsze była punktualna. Teraz prawie miałem do niej pretensję o tę jej zaletę, ponieważ odbierała mi ostatnią nadzieję. A tyle razy byłem jej za nią wdzięczny. Próbowałem ją usprawiedliwić za pierwsze pięć minut spóźnienia (to przywilej kobiety, z którego ona dobrowolnie zrezygnowała). Tłumaczyłem sobie, że trudno w święto poruszać się w mieście, ale zamiast się uspokoić, jeszcze bardziej byłem udręczony oczekiwaniem. W ciągu pięciu minut, kilka razy znalazłem się pod drzwiami, gotów wyskoczyć na ulicę.

Postanowiłem czekać do za kwadrans dziewiąta, a potem pójść na pochód, choćby po to, aby nie stracić dwóch rzeczy naraz. Niepokój o to, co będzie, jeśli moja nieobecność zostanie zauważona, przyćmiła myśl, że niechby tylko przyszła, a jakoś bym sobie poradził. (Pomyliłem ulicę, policja wcześniej zablokowała przejścia, itp.). Niechby tylko przyszła. Natomiast teraz, kiedy na pewno ją utraciłem, nie miałem powodu, aby przysparzać sobie kłopotów swoją nieobecnością. Poza tym, mogłem ją zobaczyć na trybunie albo obok, w miejscu, gdzie zwykle stoją dzieci przywódców.

W końcu podjąłem decyzję: za pięć dziesiątą otworzyłem drzwi i wyszedłem.

### 3

Schody były puste, podobnie jak ulica, na której zobaczyłem jedynie paru przechodniów. Poczulem coś w rodzaju ulgi, może z powodu przestrzeni. Podniosłem głowę, jakby przyciągnięty czymś spojrzeniem. Rzeczywiście, na jednym z balkonów stał nasz sąsiad. Patrzył na ulicę tak samo melancholijnie jak zawsze. Cofnąłem się, aby znaleźć się poza zasięgiem jego wzroku. Mówiono, że śmiał się w dniu śmierci Stalina, i to na zawsze złamało jego świetnie zapowiadającą się karierę naukową. Minęło wiele lat, ale odkąd pamiętam, ten wyraz smutnej zadumy nie schodził z jego twarzy. Nie był jedynym, który tego dnia nie zachował powagi na żałobnych wiecach, była to raczej głupawka, efekt rozregulowania mechanizmu śmiechu, rzecz znana w podobnych sytuacjach, ale bynajmniej nie uznano tego za wytłumaczenie. W takich uderzono bezpardonowo i teraz po tylu latach łatwo można ich rozpoznać po wyrazie smutku na twarzy, którym przez resztę życia muszą płacić za ten śmiech.

Ty lepiej popatrz na swoją twarz, powiedziałem do siebie w duchu. Pewnie jest nie mniej zgaszona niż jego.

Jakby bojąc się, że mój posępny wygląd może zwrócić uwagę, wyjąłem z kieszeni zaproszenie i ze szczególnym skupieniem zacząłem się przyglądać drugiej stronie, na której zaznaczono drogi dojścia do trybun.

Część ludzi, którzy jeszcze znajdowali się na ulicy, musiała również mieć zaproszenia. Świadczył o tym nie tylko ich ubiór, ale i zachowanie: to, jak się poruszali, jak promieniały ich twarze. Wyraźnie odróżniali się od innych przechodniów, tych, którzy wyszli na ulicę w nadziei, że może znajdą jakieś miejsce, skąd będą mogli oglądać pochód, albo odłączyli się od delegacji swoich zakładów pracy i teraz bląkali się zdenerwowani.

Równoległa do Wielkiego Bulwaru ulica Barykad była zatłoczona. Od czasu do czasu dobiegały z daleka, może z placu przed trybunami, dźwięki orkiestry dętej. Za każdym razem, gdy je słyszałem, przyspieszałem kroku, chociaż dopiero minęła dziewiąta i było dosyć czasu do rozpoczęcia pochodu.

Posiadacze zaproszeń wciąż jeszcze mieszały się z innymi przechodniami, ale trochę dalej zaczynał się pierwszy odsiew. U góry ulicy Elbasańskiej jeden chodnik był dostępny dla wszystkich, natomiast po



drugim, prawym, mogli iść już tylko ci z zaproszeniami. Prawdziwa kontrola miała się rozpocząć znacznie dalej, tutaj następowała jedynie pierwsza selekcja. Większość gości wolala już teraz oddzielić się od zwykłych przechodniów, którzy patrzyli na nich pustym wzrokiem.

Szedłem wciąż lewym chodnikiem i myślałem, że może Suzana ma także trybunę C-I, na której i ja miałem miejsce, gdy nagle zderzyłem się z B. LI.

Nie widziałem go od wieków. Wysoki i roześmiany od ucha do ucha serdecznie mnie uściskał, ale uśmiech miał inny niż ten, który zdawał się promieniować z czerwonych szturmówek. Ten wybuch radości wydał mi się, szczerze mówiąc, wręcz podejrzany. Rzeczywiście przyjaźniliśmy się przed laty, gdy ja byłem na prawie, on na Akademii Sztuk Pięknych, ale nie do tego stopnia, abym miał sobie nim zaprzętać głowę.

- Jak leci? - zapytał. - Co słyhać w dziennikarskim świecie? Światła, kamery, światowe życie, mucha nie siada.

- A co u ciebie? - zapytałem. - Wciąż jesteś w N.?

- Ach, szkoda gadać - powiedział tym samym żartobliwym tonem. - Ogólnie jakoś ujdzie. Najpierw byłem w porządku, ale potem popełniłem błąd i ze-

słano mnie na wieś do pracy z grupą aktorów amatorów.

- Nie może być!

- Słowo honoru! Wystawiłem na scenie sztukę, w której doszukano się trzydziestu dwóch błędów ideologicznych. Wyobrażasz sobie? Trudno, stało się, dobrze, że wyszedłem z tego cało!

Moja twarz musiała chyba wyrażać coś między zdziwieniem a niedowierzaniem, ponieważ dodał:

- Pewnie myślisz, że żartuję, ale to prawda.

I tym samym bez troskim tonem, bez cienia skargi czy urazy, jeszcze raz wrócił do opowieści o swoich trzydziestu dwóch ideologicznych błędach. Rzekłbym nawet, że mówił o nich z pewną lubością, by nie powiedzieć z ukrytą dumą, która nie za bardzo wiadomo kogo dotyczyła: czy tych, którzy potrafili wyłowić po kolei wszystkie błędy, czy jego samego, który zdołał popełnić nie jeden mały grzech, grzeszek, ale wywołał prawdziwą katastrofę, a może obu jednocześnie.

- Tak było - zakończył. - Ich było dwudziestu sześciu; dwudziestu sześciu ich było, me utoną w piasku mogiły<sup>1</sup>,

---

<sup>1</sup> Strofy te pochodzą z *Ballady o dwudziestu sześciu* Siergieja Jesienina<sup>1</sup>, napisanej w 1924 roku ku czci rosyjskich komisarzy rozstrzelanych przez interwencyjną armię brytyjską przy transkaukaskiej linii kolejowej we wrześniu 1918 roku.

Nigdy się nie dowiedziałem, co miały z tym wspólnego strofy z wiersza Jesienina.

Tymczasem zbliżaliśmy się do skrzyżowania, na którym posiadacze zaproszeń ostatecznie oddzielali się od zwykłych przechodniów. W innych okolicznościach nigdy nie pokazałbym zaproszenia koledze po wyroku, teraz byłem zmuszony to uczynić. Zbiegło się to z jego pytaniem: „A co u ciebie?”, po którym, nie bez skrępowania, uśmiechając się jak w poczuciu winy, wyciągnąłem z kieszeni kartoniki powiedziałem:

—Jak widzisz, jestem tam zaproszony, więc...

Wahałem się, jak zakończyć zdanie, żartem, serio czy z ironią skierowaną sam nie wiem do kogo: do siebie, do niego, czy do losu, gdy on wydał okrzyk radości, który natychmiast rozładował napięcie.

- Ach, masz zaproszenie! Szczęściarz z ciebie! Moje gratulacje! Ale czy nie powinieneś się pospieszyć? Spóźnisz się!

Na jego twarzy i w głosie nie było najmniejszego śladu ironii czy ukrytej zazdrości i poczułem wyrzuty sumienia, że przez ostatnich dwadzieścia metrów myślałem, że trzeba będzie jakoś go splawić.

Za skrzyżowaniem, nim dotarłem do pierwszego kordonu policji po cywilnemu, obejrzałem się po raz

ostatni i zobaczyłem, jak odprowadza mnie pogodnym wzrokiem i macha ręką na pożegnanie.

Nieco zdziwiła mnie jego życzliwość. Jednak podejrzenie, że takie zachowanie jest po prostu znakiem degradacji człowieka, który z niewiadomych powodów znajduje przyjemność we własnym upadku (w innych okolicznościach nie dawałoby mi to spokoju), rozwiały jego przyjazne gesty, które niezmiernie ułatwiły mi pierwszy kontakt ze szpalerem policji.

— Dokumenty!

Kątem oka widziałem, jak wzrok cywila wędruje z fotografii w dowodzie na moją twarz, i starałem się dostrzec w nim - sam nie wiem dlaczego - oznaki niedowierzania, zlej woli, bądź przeciwnie: szacunku. Parę chwil później, kiedy poszedłem dalej, myślałem, że rzeczywiście dziwaczę, skoro w ogóle niepokoję się tym, jakie wrażenie wywoła moja twarz, nazwisko albo zaproszenie na jakimś policjancie w cywilu, którego prawdopodobnie nigdy więcej nie spotkam.

Bulwar Marcela Cachina, który łączył ulicę Elba-sańską z Wielkim Bulwarem, był zamknięty dla przechodniów. Wzdłuż niego szli grupkami albo pojedynczo jak ja jedynie posiadacze zaproszeń. Jedni wzięli ze sobą dzieci, które trzymały w ręku chorągiewki albo sztuczne kwiaty. Inni przypięli ordery, które

złotym blaskiem odbijały się na ich twarzach. Przede mną dziarsko kroczył krępy mężczyzna i prowadził za rękę dwie małe dziewczynki. Obie miały kokardy we włosach, jedna czerwoną, druga — niebieską. Ich twarzyczki mogłyby pasować tło każdego kadru dokumentalnego filmu o świętach państwowych.

Drugi kordon policji znajdował się niedaleko pierwszego. Oczekiwałem dokładniejszej kontroli, ale w istocie powtórzyła się ta sama procedura. Z pewnością rozczarowała tych, którzy przyszli po raz pierwszy i spodziewali się niezwykle ostrego sprawdzania. Jego surowość podniosłaby wartość zaproszenia. Mężczyzna, który maszerował przede mną z dwiema dziewczynkami, otwarcie okazał swoje niezadowolenie, kiedy dwaj policjanci rzucili mu niedbale: „Przechodzić!”, podczas gdy on informował ich, że to są jego córki i że może pokazać ich metryki urodzenia.

Mężczyzna potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: ech, i to ma być czujność?! Miałem ochotę się wtrącić i dodać: niech się pan nie denerwuje, w drodze na trybuny będą jeszcze inne kontrole, znacznie ostrzejsze!

W tej części bulwar Marcela Cachina był nie tylko szeroki, ale zakręcał łukiem, co pozwalało widzieć jak na dłoni prawie wszystkich zaproszonych gości. Szli jeden za drugim z ledwo hamowaną niecierpliwością,

w wiosennym słońcu, które wraz z orderami, szturmówkami i dźwiękami muzyki dobiegającymi coraz wyraźniej budziło wśród obcych sobie ludzi radosną solidarność, i było to zrozumiałe. Sam fakt, że ta sama ręka (ręka państwa) wybrała nas do wspólnego świętowania tego radosnego dnia, przypieczętowywał udział w złotym sojuszu, pragnienie, aby mówić i uśmiechać się do siebie. Zwykli przechodnie, ci mezaproszeni, zostali wreszcie za kordonem policji, aby nas nie niepokoić zmęczonym, uporczywym, badawczym wzrokiem, pytając: dlaczego wyróżniono właśnie ciebie?

Zrobiło mi się wstyd, że uczestniczę w tej sielance, i nagle poczułem przemożne pragnienie, aby jeszcze raz zobaczyć B. LI, którego potraktowałem z pewną nonszalancją, on natomiast zachował się godnie. Nie tylko nie zadał mi przekłętą pytanie, ale szczerze ucieszył się na widok zaproszenia, mimo że sam od dawna był wykluczony z udziału w uroczystościach państwowych.

W trzecim punkcie kontrolnym natknąłem się na znajomego aktywistę z mojej dzielnicy. Dopiero teraz zrozumiałem, że z policjantami po cywilnemu mieszały się różni pracownicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz dzielnicowi aktywiści, także z pewnością tajni współpracownicy. W innych

okolicznościach spojrzalbym na niego z pogardą, ale tutaj, w atmosferze świątecznej jedności, miałem ochotę uśmiechnąć się do niego. On jednak nie tylko nie odpowiedział na mój uśmiech, ale udał, że mnie nie zna. Przekartkował chłodno mój dowód, jakby mnie nigdy w życiu nie widział, choć spotykaliśmy się codziennie w kolejce przed sklepem nabiałowym, i nie patrząc mi w oczy, rzucił: „Przechodzić!”.

Czułem, jak czerwienieją mi policzki, ale wystarczyło parę chwil, aby jego ostentacyjny chłód wywołał we mnie nieokreśloną radość. To oznaczało, że mimo iż tego dnia znalazłem się w szeregach wybrańców (trochę wstydzilem się z tego powodu, ale jednocześnie mgliście, ledwie dostrzegalnie czułem się zaszczycony), to nadal me utożsamiano mnie z ich wspólnotą albo mówiąc ściślej - z jej ciemną stroną. Oto dlaczego sąsiad aktywista patrzył na mnie tak zjadliwie. Pewnie mruczał do siebie: A ten czego tu szuka? Kto wybiera takich na trybunę?

Od tej chwili zacząłem dostrzegać oznaki wrogości wobec mnie. Im byłem bliżej bulwaru, tym stawała się ona bardziej widoczna. Ale to jeszcze nie było najgorsze. Bo właśnie wtedy, kiedy się tego nie spodziewałem, kiedy myślałem, że teraz będę musiał się bronić jedynie przed uczuciem zazdrości (to zrozumiałe, że ludzie, którzy przywykli do tego, że od

zawsze są na listach zaproszonych, patrzą wrogo na tych, których zaproszono po raz pierwszy), a więc, kiedy myślałem, że przyjdzie mi się bronić jedynie przed zawiścią, a podejrzliwe pytanie („A ten, czym zasłużył sobie na to zaproszenie?") tutaj nie padnie, ponieważ wszyscy jesteśmy w podobnej sytuacji, można powiedzieć, jedziemy na tym samym wózku — wtedy właśnie wrogość odsłoniła swoje oblicze tak otwarcie, jak nigdy. Dwaj młodzi mężczyźni w płaszczach, o twarzach takich, że wydaje ci się, że skądś je znasz, ale nie jesteś pewny skąd, spojrzeli na mnie przelotnie, przechodząc obok. Miałem wrażenie, że w ich oczach błysnęła drwina. Odwróciłem się, aby się upewnić, że jest inaczej, to znaczy, że nie patrzą na mnie, że popadam w paranoję, ale ku swojemu przerażeniu, przekonałem się, że chodzi im jednak o mnie. Nie tylko nadal patrzyli w moją stronę, ale szeptem wymieniali z jadowitym, uśmiezkim jakiejś uwagi.

Poczułem, że się czerwienię. Myśl, aby przyspieszyć kroku, zastąpiła odwrotna, żeby stanąć w miejscu i powiedzieć do nich: co tak szepczecie między sobą, co się tak wykrzywicie jak stare wiedźmy? Mam takie samo prawo was podejrzewać, czyż nie?

Nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego, tylko szedłem dalej, na próżno starając się nie myśleć o nich.



Nieco się uspokoiłem, kiedy rozdzieliła nas radosna grupa. Dojrzałem w niej krępego ojca i jego córeczki, jedną z czerwoną kokardą, drugą - z niebieską.

Nadal w duchu prowadziłem dyskusję z tymi dwoma nieznanymi. Dlaczego to wy macie mieć monopoli na podejrzenia, a nie ja? Ostatecznie, w czym jesteście lepsi ode mnie, jeśli chodzi o tę kwestię?

Tak rozmawiałem ze sobą, ale nie wiem dlaczego miałem wrażenie, że nic nie jest w stanie zmasać z ich twarzy ironicznego uśmiechu. I nagle wydało mi się, że znalazłem klucz do tajemnicy: przewagę ma ten, kto pierwszy zaczyna podejrzewać. Osoba podejrzewana, nawet jeśli niewinna, jest w gorszej sytuacji już z samego faktu, że się spóźniła.

Co za głupoty, powiedziałem w duchu. Na próżno usiłowałem sobie przypomnieć, co czytałem o winie zbiorowej, i tak dalej, i tak dalej. Ale niczego nie pamiętałem.

Przedemną dwie dziewczynki z kokardami pytały o coś piskliwymi głosikami. Ojciec cierpliwie im odpowiadał, każdą pieszczotliwie nazywając,

idealny ojciec prowadzący za rękę córki pod słońcem socjalistycznego Pierwszego Maja. Idylliczny obrazek, pomyślałem, zastanów się tylko, jaką cenę zapłaciłeś za tę idyllę? Kogo skazałeś na wygnanie?

Sam się zdziwiłem tym wybuchem złości. Ale to nie powstrzymało mnie przed rozglądaniem się nienawistnym wzrokiem na prawo i lewo. Byłem jak terrorysta oślepiiony krwią, który strzela na chybił trafił w tłum. Zanim oni we mnie uderzą, ja ich uprzedzę. Przegrywa ten, kto się spóźni.

#### 4

Po chwili poczułem, że czoło pokrywa mi zimny pot. Straciłem z oczu obu mężczyzn w płaszczach oraz sielankowy obrazek dziewczynek z czerwoną i niebieską kokardą. Szedłem wśród obcych ludzi, których bez wahania bezczelnie oskarżałem, obrzucałem biotem brutalnie i na oślep, nie dbając o to, że także oni mogą robić ze mną to samo.

Wielki Bulwar był już niedaleko. A ty? Czy ty masz czyste sumienie? — zapytałem siebie. Sześć miesięcy wcześniej, kiedy wychodziłem z okręgowego Komitetu Partii, gdzie wezwano nas na konfrontację, po raz pierwszy zadałem sobie to pytanie. Podobnie jak wtedy, także teraz pokręciłem przecząco głową. Nie, nie miałem niczego na sumieniu. Nawet jeśli niechcący przyczyniłem się do tego, że dwóch moich kolegów ukarano zesłaniem na wieś, to nie było w tym mojej winy. Wręcz przeciwnie, można powiedzieć, że to oni

swoją głupotą o mało mnie nie zgubili. „Jesteśmy w Komitecie Partii i musicie wiedzieć, że tu się nie kłamie - oznajmił sekretarz, świdrując nas wzrokiem. - A ty? - wskazał na mnie - gdzie słyszałeś perfidną insynuację, że pogłoski o rychłym upadku tego czy tamtego towarzysza rozsiewane są w narodzie nie przez drobno,- mieszczańskie elementy, ale fabrykuje je samo państwo, to znaczy, według ciebie, tajne specjalne biuro, po to, aby w konsekwencji doprowadzić do upadku któregoś funkcjonariusza?”.

Nigdy w życiu nie czułem się tak źle. Tak istotnie powiedział mój biurowy kolega, który teraz siedział z zastygłą twarzą naprzeciwko mnie, ale ja nie wiedziałem, że się do tego przyznał. Nie zastanawiając się długo, w dziwnym przekonaniu, które narastało we mnie wraz z upływem sekund, powiedziałem, że taką myśl przeczytałem w książce o Czechosłowacji po radzieckiej inwazji. Sekretarz wlepił we mnie wzrok, ale ja już zdążyłem sam siebie przekonać, że istotnie coś takiego przeczytałem. W tym przejawie fałszywej szczerości pomógł mi fakt, że rzeczywiście właśnie skończyłem książkę o Czechosłowacji.

Nie wiem, co się spodobało sekretarzowi w mojej odpowiedzi. Właściwie powinien docenić szczerość mojego towarzysza, który narażając się na konsekwencje, przyznał się, moją zaś wersję potraktować

podejrzliwie. Stało się jednak odwrotnie. Nie dając im czasu na jakiegokolwiek wyjaśnienie („Całe szczęście — powiedzieli obaj później — że nie żądano od nas wyjaśnień”), zaczął wymyślać im od kretynów, mitomanów, chwalipięt, którzy udają, że znają się na polityce, a w rzeczy samej mówią jak ślepy o kolorach. Nieuleczalnie chorzy plotkarze, którzy to, co usłyszą o zgnilej rzeczywistości w krajach rewizjonistyczno-burżuazyjnych, lekkomyślnie transportują do naszego socjalistycznego życia, itp., itd. Ja natomiast zaliczyłem krytykę, która zabrzmiała raczej jak pochwała. Innymi słowy, powinienem okazać większą ostrożność w objaśnianiu takich zjawisk, aby uniknąć nieporozumień, jakie mogą spowodować tego typu rozmowy, zwłaszcza z osobnikami lekkomyślnymi, bez mocnego politycznego kręgosłupa, jak dwaj moi koledzy.

„A teraz precz stąd i nikomu o tym ani słowa, zrozumieście?!”. To były ostatnie słowa sekretarza. Przez długi czas jego zachowanie oraz nieoczekiwane zamknięcie sprawy stanowiło dla mnie zagadkę. Czy był jednym z tych trybików, który zamiast obracać się w jedną stronę, nieoczekiwanie obraca się w drugą, powodując tym samym całą serię nielogicznych następstw? Czy też sekretarzowi było na rękę zamknąć ją czynnikiem zewnętrznym, takim jak Czechosłowacja?

A może po prostu miał dużo problemów na głowie, dostał reprimendę za niewykonanie planu, itd., itp., i gdy ta sprawa spadła na niego, chciał się od niej jak najszybciej uwolnić.

Patrzył na mnie prawie z sympatią, że zdjąłem z niego ten ciężar. Kiedy wychodziliśmy z pokoju, miałem wrażenie, że za chwilę położy mi rękę na ramieniu tym charakterystycznym gestem, który tyle razy widziałem w filmach wytwórni „Nowa Albania”. Ale choć obyło się bez gestu, dręczyła mnie myśl, co teraz ludzie zaczną o mnie mówić. To było nieuniknione, ponieważ z całej trójki wplątanej w tę historię tylko ja wyszedłem cało. Na szczęście dla mnie obaj, nim wyjechali na wieś, mówili wszem wobec, że nie było w tym mojej winy, że sami są sobie winni i chwala Bogu, że tylko na tym się skończyło, bo mogło być znacznie gorzej.

Kiedy myślami wracałem do tego dnia, coraz częściej przypominało mi się zdanie „A teraz precz stąd i nikomu o tym ani słowa!”. Pośpiech sekretarza, aby zamknąć sprawę, wdzięczność dla mnie, a zwłaszcza chęć potraktowania tego wydarzenia jedynie jako lekkomyślność, działanie kretynów i mitomanów stopniowo odsłaniały przede mną to, co wcześniej wydawało się zagadką. Nie było w tym żadnej tajemnicy ani nie logiczności, spowodowanej obracaniem się trybików w

przeciwną stronę. Nie miało to także nic wspólnego z przemęczeniem sekretarza z powodu nadmiaru obowiązków. Po prostu znalazł on sprytne wyjście, jedyne możliwe, by uciąć głowę plotce. Bo w gruncie rzeczy była to jedna z tych niebezpiecznych plotek, które państwo chciało zdusić w zarodku.

Dlatego w czasie ogłaszania wyroku w ogóle nie podano prawdziwego powodu. Skazano ich za kilka błędów w pracy, takich, jakie można znaleźć zawsze i u każdego.

Najrozsądniej byłoby, gdyby państwo przytknęło oko i sprawę umorzyło. Ale może jakiś trybik obracał się w kierunku, w którym domagano się kary za wszelką cenę, A może chodziło o coś innego, co całkiem mi umknęło.

Takie myśli chaotycznie przelatywały mi przez głowę, gdy zbliżałem się do Wielkiego Bulwaru. Po kilku miesiącach spokoju znowu zacząłem martwić się, że to, co się wtedy stało, wyda się komuś podejrzanym. Istotnie, gdyby ktoś ze znajomych zobaczył mnie na trybunie, miałby prawo nabrać jakichś podejrzeń. Sam zastanawiałem się, czy nie zostałem ślepyim narzędziem do wykopania jeszcze głębszego grobu dla moich kolegów. Przede wszystkim to mnie zawdzięczają oskarżenie, że do socjalistycznej rzeczywistości wnoszą rewizjonistyczną zgniliznę... Załóżmy, że zobaczą

mnie dzisiaj na ekranie telewizyjnym. Pewnie powiedzą: myśleliśmy, że on nas wyciągnie, a on nas jeszcze bardziej pogroził, skoro tak hojnie został nagrodzony.

Byłoby lepiej, gdybym wcale nie dostał tego zaproszenia, pomyślałem. Albo gdybym tutaj nie przyszedł, jak uzgodniliśmy z Suzaną. I nieoczekiwanie cały ból spowodowany jej nieobecnością przygniółł mnie swoim ciężarem jak nagrobny kamień. O Boże, westchnąłem, za dużo nieszczęść jak na jedną głowę.

Tam, gdzie przecinały się dwa bulwary, stał jeszcze szpaler policji, kontrola była surowsza niż poprzednie. Ale teraz było mi to obojętne, ilekroć zbliżałem się do kolejnego punktu kontrolnego, rodziła się ukryta nadzieja, że policjanci dopatrzą się w zaproszeniu nieprawidłowości i mnie zawrócą.

Niestety. W kilku kwestiach opóźnienia, przeoczenia albo zaniedbania nigdy się nie zdarzały. Przygotowywanie zaproszeń należało do jednej z nich.

Oba chodniki na Wielkim Bulwarze były pełne ludzi. Większość zaproszonych gości zebrała się właśnie tutaj. Tak widniało na zaproszeniach: „Z boku trybuny”. Natomiast ci, którzy mieli miejsca na trybunie jak ja, musieli przedzierać się przez ludzką ciżbę. Wzbudziłem podejrzania i nienawiść już samym dojściem tutaj, ale kiedy dowiedzą się, że mam iść dalej, wyżej,

kto wie, co ich znowu zaniepokoi. Prawdziwy koszmar zacznie się właśnie tutaj. Wyobrażałem sobie, że kiedy się dowiedzą, kim jestem, chwycą mnie za klapy i zaalarmują, kogo trzeba.

Instynktownie zwolniłem kroku, aby odsunąć wszelkie podejrzenia, że chcę iść dalej. Chciałem sprawiać wrażenie, że idę z resztą nowo przybyłych.

Po chwili zauważyłem, że chodnik zmienił się w promenadę. Ponieważ najlepsze miejsca, z których można było oglądać pochód, od dawna były zajęte, pozostali goście przechadzali się tam i z powrotem, witali ze znajomymi, śmiali radośnie. Tu i tam pobłyskiwały ordery, od czasu do czasu mignęła gwiazda Bohatera Pracy Socjalistycznej. W oczach tych, którzy przed chwilą przyglądali się zmęczonym wzrokiem, jak kierujemy się w stronę trybuny, ten zatłoczony chodnik był jak zakątek raju. Oto wybrańcy narodu, w blasku majowego słońca, przy niebiańskiej muzyce...

Pomyślałem, że ani nie jest to żaden zakątek raju, ani też coś całkiem odwrotnego, czyli przedsionek piekła, jak na początku mi się wydawało. Może wszystko wygląda znacznie prościej i tylko moje sumienie mąci mi dramatycznie myśli.

Z lżejszym sercem spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziewiąta trzydzieści. Była to pora, kiedy należało zacząć wchodzić na trybunę. I oto wśród ludzkiej



masy utworzyła się jakby kolumna tych, którzy tam zmierali. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie ma na ich twarzach jakichś oznak poczucia winy, wstydu albo zawahania. Przeciwnie, wielu z nich, me bez dumy, trzymało w rękach zaproszenia, przybliżało i oddalało je od oczu niby po to, aby zobaczyć, na której trybunie mają miejsce (jakby w domu zawczasu nie sprawdzili tego dziesiątki razy), i parli z poważnymi minami do przodu.

Przylączyłbym się do tej kolumny i nie zawracałbym sobie głowy niczym więcej. W końcu oni od lat przychodzą tutaj, natomiast ja jestem tu po raz pierwszy. I zapewne po raz ostatni.

„Naprzód, naprzód, zawsze naprzód” - grzmiał głos z najbliższego głośnika, jakby chciał mi dodać odwagi albo zakpić z mojej decyzji. Prawie byłem gotów się uśmiechnąć, gdy raptem uśmiech zamarł mi na ustach. Po prawej stronie, w grupie młodych ludzi, których większość znałem (jedni pracowali w „Głosie Ludu”, inni w aparacie Komitetu Centralnego), zobaczyłem R. Z.

Nie wiem, czy w całym tym tłumie znalazłby się ktoś, kto tak jak on błyskawicznie przypomniałby mi wszystko co złe, mroczne i beznadziejne. Czarna dziura, upadek, desperacka szarpanina, aby za wszelką ce-

nę wydostać się z chaosu... Tak, to była stara baśń o upadku Łysogłowego\*.

Pewnej nocy, gdy Łysogłowy szedł przez ciemność, wpadł w dziurę i leciał, leciał, aż spadł do podziemnego świata...

Łysogowy (alb. Qcrosi) - bohater serii albańskich baśni. Sprytny i zdolny, ale także chytrus i szachraj. Często jest najmłodszym z trzech braci i po wielu perypetiach w końcu zwycięża.

Znałem R. Z. od czasu, kiedy został zatrudniony w naszej telewizji. Nigdy mi się nie podobał. Był szary, ale ta szarość miała taki odcień, że skóra wydawała się niedomyta, co w połączeniu z koszulami nie pierwszej świeżości, a zwłaszcza z wychwalaniem niby prostoty ubioru - co nic było niczym innym jak skąpstwem - oraz z uporczywym podkreślaniami na zebraniach jego sierociego losu („Towarzysze, jestem sierotą, moją matką jest Partia"...), niezwykle poruszało delegatów. Ale jednego z naszych kolegów doprowadzało do wściekłości („O Boże, co za szarlatan — mrucał — przecież on ma matkę, tylko ojciec nie żyje, dlaczego więc nie mówi, że jego ojcem jest Partia"). Wszystko to łącznie samo przez się wywoływało pragnienie, aby nazywać go, mówiąc delikatnie, gnojem.

Wydaje się jednak, że z tego właśnie wyrastały korzenie jego kariery. Karierowicz, jak mawiał jeden z moich kolegów, musi mieć, prócz zapалу i energii specjalny dar, który stanowi jego integralną część, i tylko cienka linia oddziela go od jego genów. Takim darem dla jednych jest serce z kamienia, wrodzona nieuczciwość, służalczość i lichy wie, co jeszcze. Dla R. Z. było nim rzekome, ostentacyjne sieroctwo, które z

niewiadomych powodów rodziło wśród urzędników pewność, że gdyby tego zażądać od niego, popełniłby każde draństwo.

I rzeczywiście zrobił swego rodzaju karierę. Najpierw w telewizji, potem w Teatrze Narodowym, gdzie, jak mówiono, patrzyli na niego łaskawym okiem... Czulo się od razu jego niepowstrzymany pęd, aby pisać w górę... Ale pewnego dnia jeden z jego krewnych został aresztowany...

Tej nocy Łysogłowy spadł do podziemnego świata...

Nigdy nie przyszło mi na myśl, że takie zero jak R. Z. może skłonić mnie do porównania znanej starej baśni do wydarzeń w naszym życiu. Ale, jak mawiał kierownik naszego biura, czyż nie zdarzało się, że odrażające, nędzne robactwo wielokrotnie przywodziło na myśl wzniosie idee?

Po strasznym upadku Łysogłowy robił wszystko, aby znaleźć sposób na wydostanie się z powrotem do naziemnego świata. Pokręcił się tu i tam, aż wreszcie pewien starzec wskazał mu rozwiązanie. Jest orzeł, który może cię unieść wysoko na swoich skrzydłach, ale pod jednym warunkiem: przez całą drogę musi jeść mięso! Ten warunek nie wydał się Łysogłowemu trudny.

(Czego zażądali od R. Z., aby wrócił z powrotem na ziemię? Czyjego mięsa?).

R. Z. spędzał noce i dni jak w delirium. Chodził od biura do biura, przeklinał kuzyna, wyparł się go, przysięgał, że jest gotów udusić go własnymi rękami, żądał, aby Partia poddała go próbie. Ci, którzy znali go bliżej, mówili, że jego rozgorączkowanie nie było udawane. Ich zdaniem stanowiło swego rodzaju wartość. Ale dla mnie właśnie to było szczytem ludzkiego upadku.

Wydeptywał ścieżki, aby znaleźć wyjście z trudnego położenia, zakochany we własnej unizoności, gotowości do płaszczenia się, może nawet sam zdziwiony, do jakiego stopnia człowiek zdolny jest do poświęceń dla Partii. Chodził więc od drzwi do drzwi, przemierzał korytarze, aż w końcu ktoś obiecał wskazać mu sposób, na odzyskanie zaufania, ale pod jednym warunkiem... i ten warunek nie wydał się R. Z. trudny do spełnienia.

Nigdy nie dowiedziano się, czego zażądano od R. Z.

W podziemnym świecie Łysogłowy zaopatrzył się w mięso, wsiadł na orla i tak oto rozpoczęła się jego podróż na ziemię. Po drodze orzeł od czasu do czasu domagał się mięsa i Łysogłowy odcinał mu je po kawalku.

R. Z. dostał zakaz publikowania, ale na razie z teatru go nie ruszano. Powiedział swoim przyjaciołom, że jego sprawa wkrótce się rozwiąże. Za dwa—trzy tygodnie, najdalej za cztery—pięć losy kuzyna i jego będą toczyć się oddzielnie. Zwłaszcza że on miał innego dziadka... Ale sprawa nie rozwiązała się ani po dwóch— —trzech, ani po czterech—pięciu tygodniach...

Podróż orla do naziemnego świata trwała dłużej, niż Łysogłowy przewidywał. Tymczasem mięso się skończyło i Łysogłowy patrzył ze strachem w sercu na złowieszczą czarną otchłań, nad którą przelatywali. Otchłań zdawała się nie mieć końca.

Krra, krra, zakrakal orzeł, i to był jego okrzyk głodu. Łysogłowy zadrżał z przerażenia. Co mu dać? Starzec powiedział, że jeśli ptak nie dostanie mięsa, ilekroć zażąda, zrzuci Łysogłowego w przepaść.

Krra, zakrakal po raz drugi orzeł. Łysogłowy, długo się nie zastanawiając, wbił nóż w swoje przedramię i odciął kawałek własnego ciała.

Nikt nie zdołał dowiedzieć się dokładnie, co zrobił R. Z. w tygodniu swojej próby. Usłyszeliśmy jedynie o prowokacji, jakiej dopuścił się na zebraniu partyjnym wobec znanego dramaturga: przesiał kilka wierszy poświęconych Wodzowi (przez znajomego ochroniarza) do jego dzieci wraz ze skargą, że z wiadomych powo-

dów publikacja tych wierszy powinna być zakazana. Potem doszło do najważniejszego: aresztowano pewnego młodego scenarzystę na podstawie ekspertyzy scenariusza (bez wątpienia donosu) sporządzonej przez R. Z.

Ścisnąłem rękoma skronie, aby trochę uśmierzyć ból głowy. Nie, historia Łysogłowego, który karmił orla z piekiel mięsem z własnego ciała, w tym miejscu różni się od historii R. Z. Tylko cudze mięso mógł rzucać R. Z. orłowi do dzioba i ani kawaleczka własnego. Obcinanie własnych kończyn z jakiegokolwiek powodu ma tragiczny odcień i żalobny majestat, rzeczy całkowicie obce dla R. Z. i typów takich jak on. Nie kiwną nawet palcem, aby kogoś uratować... Łysogłowy natomiast...

Krra, krra, po pewnym czasie znowu zakrakał orze! i Łysogłowy musiał wyrwać kawalek mięsa z własnego biodra. Ze zgrozą spoglądał w bezkresną czarną czełuść. Potem jego wzrok zatrzymywał się po kolei na tych częściach ciała, które będzie musiał odciąć, kiedy orze! zgłodnieje. O Boże, każdy kawalek będzie bolał jednakowo!

Orze! leciał i leciał przez lodowatą ciemność. Od czasu do czasu krakał, a on kroił po kawalku mięso raz z jednego, raz z drugiego boku. Podróż ciągnęła się w nieskończoność. Niekiedy widział, że coś bieleje

w oddali. Ale to była jedynie halucynacja zmęczonego wzroku.

Krra, krra... Zaczął mu dawać kawałki z własnej piersi, ponieważ z innych części ciała zostały już tylko kości. Znowu zdawało mu się, że w oddali widzi światło...

Nie wiadomo, czy żył jeszcze, kiedy orzeł w końcu wyniósł go na ziemię. Wiadomo jedynie, że ludzie, którzy przypadkiem znaleźli się w pobliżu, nie wierzyli własnym oczom, kiedy ujrzeli wielkiego czarnego ptaka niosącego ludzki szkielet na skrzydłach. Hej, chodźcie zobaczyć coś dziwnego, krzyczeli z daleka. Orzeł dźwiga ludzki szkielet...

## 6

Straciłem R. Z. z oczu i chciałem o nim zapomnieć. To inni kroili po kawałku swoje ciało, żeby los nie pozwolił im stoczyć się bezpowrotnie w przepaść.

Ja chyba byłem jednym z nich. Rozpoczęliśmy podróż, nie wiedząc, dokąd dotrzemy, nie wiedząc, jak długo potrwa, a potem w jej trakcie, kiedy zobaczyliśmy, żeśmy się pomylili, że jest już za późno, że odwrót stał się niemożliwy, zaczęliśmy oddawać kawałki siebie, aby nie pochłonęła nas ciemność.



Wciąż masowałem skronie. Zgiełk wkoło i świąteczna muzyka stopiły się w jedno. Ja natomiast byłem hen, w czarnej przepaści bez końca, tam gdzie każdy z nas, siedząc na swoim orle, leciał na zatracenie.

- Hej, a co ty tu robisz? Sprawiasz wrażenie nieobecnych myślami. Niech się święci Pierwszy Maja, bratanku!

To był mój wujek, który ucieszył się na mój widok i nie ukrywał zaskoczenia, tak wielkiego, że zdawało mi się, iż wciąż mruga oczami jak człowiek niedowierzający widokowi, jaki ma przed sobą.

- To mój bratanek, pracuje w telewizji - powiedział, nie bez pewnej dumy, do grupki znajomych.

Nie lubilem wujka. Z latami weszły nam w krew klótnie za każdym razem, ilekroć się spotykaliśmy, ponieważ mieliśmy odmienne zdanie na wszystko: na niekompetencję kadr, braki na rynku, Stalina, programy telewizyjne, sytuację w Kosowie i tak dalej. Nie pamiętam, abyśmy zgadzali się w czymkolwiek. Różniliśmy się nawet w kwestii pogody, która zwykle służy do neutralizowania napiętej sytuacji. On lubił klimat gorący, ja wolałem umiarkowany, z czego nie zawahał się wyciągać od razu ideologicznego wniosku.

- To oczywiście, że wolisz klimat europejski, bo myślami jesteś tam!

- A gdzie mam być? — odpowiadałem. - W Bangladeszu, w Azji? Skanderbeg przez ćwierć wieku walczył o oderwanie Albanii od Azji i wprowadzenie jej do Europy, a ty razem z towarzyszami co robicie? Chcecie z powrotem wepchnąć Albanie do Azji!

W tym miejscu zwykle zaczynał się spór o Chińczyków i kłótnia wybuchała z nową siłą. Nazywał mnie liberałem, rewizjonistą, pieniał się z wściekłości, kiedy widział, że te epitety nie robią na mnie żadnego wrażenia, na próżno szukał innych, bardziej obraźliwych, a ponieważ ich nie znajdował (te bowiem były według niego najgorsze), powtarzał je znowu: rewizjonista, niepoprawny liberal... Ja zaś nazywałem go filochińczykiem, mówiłem, iż całe szczęście, że nasz kraj nie ma kół, bo inaczej, kto wie, gdzie bylibyśmy teraz, zapewne gdzieś między pustynią Gobi a Tybetem, Tam bez wątpienia czulibyście się bezpiecznie, mówiłem. Z dała od przeklętej Europy.

Kłóciliśmy się o Chińczyków w okresie przyjaźni z nimi, ale jeszcze bardziej kłóciliśmy się w okresie pogarszania stosunków. Kiedy po raz pierwszy zaczęto szeptać o ochłodzeniu, przyszedł do nas z zafrasowaną miną.

— W niektórych kwestiach miałeś rację, chłopcze — powiedział. — Ci Chińczycy nie są tacy, za jakich się podają.

I właśnie tego dnia, który według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien stać się dniem ugody, doszło między nami do największej kłótni. Po raz pierwszy nazwałem go głupolem, a on zagroził, że na mnie doniesie.

Mówiąc szczerze, to ja rozpocząłem kłótnię w chwili, kiedy on się zdziwił, dlaczego ja, taki przeciwnik Chińczyków, nie cieszę się z zerwania z nimi stosunków.

—Dziwny jesteś, chłopcze, przewrotny i krnąbrny. Od tylu lat czepiasz się Chińczyków i oto teraz, kiedy sprawy układają się po twojej myśli, zamiast skakać z radości, krzywisz się.

Szlag mnie trafił.

— Z czego się tu cieszyć? - prawie wrzasnąłem. — Z czego tu się cieszyć, płakać raczej trzeba. Ale ty tego nie zrozumiesz, głupolu. — Poniosło mnie. - Zerwaliśmy z Chinami nie z powodu ich okrucieństw, ale przeciwnie, dlatego że gotowi byli ich zaprzestać. My natomiast tęsknimy za nimi. Zaprzyjaźniliśmy się z Chinami właśnie w imię tych podłości, a teraz, kiedy oni ich zaniechali, my odwracamy się plecami. To jest rozpacz, czarna rozpacz. I tacy byliśmy zawsze. Mieliśmy dobre stosunki z Jugosłowianami w okresie ich największego zdziczenia i rozstaliśmy się w pierwszym dniu złagodzenia przez nich kursu. Byliśmy sojuszni-

kami Sowietów w latach najokrutniejszego stalinizmu i zerwaliśmy z nimi w chwili, kiedy zaczęli okazywać przejawy cywilizacji. To samo dzieje się teraz z Chińczykami, Wszyscy po kolei zrywają w końcu ze złem i ciemnogrodem. Ale nie my, Albania pozostaje ich ostatnim bastionem. Staliśmy się skansenem zła, wstydem na ziemi. Czy można znaleźć taki inny kraj? Przeklęty kraj, po trzykroć przeklęty.

Śluchał oszołomiony, z oczami pociemniałymi ze złości i strachu. Kilka razy zamierzał mi przerwać, ale chyba w ustach mu zaschło. Dopiero kiedy krzyknąłem „przeklęty kraj”, zdołał wykrztusić: „doniosę na ciebie!”.

- Donieś — ripostowałem - ale nie zapomnij, że odium spadnie także na ciebie!

Wtedy wyciągnął lekarstwa i zażył nitroglicerynę, co zwykle robił w takich sytuacjach.

To była nasza przedostatnia kłótnia. Ostatnia wybuchła z powodu hasła Wodza: „Obronimy zasady marksizmu-leninizmu, nawet gdybyśmy musieli, jeść trawę”. Powiedziałem mu wtedy, że nie można wymyślić hasła równie absurdałnego i poniżającego godność narodu. Co to za zasady, dla których mamy się zmienić w bydło? Do czego byłyby nam potem one potrzebne? Aby wychwalać pasterza?

Zbladł, szczęka mu zadrżała, nie wiedział, co odpowiedzieć.

- No, mów — ponagliłem. — Po co nam takie zasady, które zamienią nas w zwierzęta, jak stado świń Kirke?

W duchu zaś myślałem: kto wie, może takie jest ukryte pragnienie Wodza - poniżyć człowieka do poziomu trawożernych. Potulny, zidiociały. A wszystko w imię zasad marksizmu. Boże, co za komedia!

- Czy nie widzisz, że to podstępna gra? — krzyknąłem. — Cały świat korzysta z życia, my zaś poświęcamy się w imię kilku tak zwanych zasad. Co ma wspólnego naród albański z zasadami marksizmu-Ieninizmu, skoro świat, twoim zdaniem, je porzucił? W imię czego ten biedny, umęczony naród ma być ostatnim, samotnym obrońcą zasad, których nawet sam nie wymyślił? W imię przyszłości świata? To znaczy, że skoro paryżanie, londyńczycy, wiedeńczycy i tak dalej, zaślepieni dobrobytem, muzyką i przyjemnościami obrali błędną drogę, to my, Albańczycy, jesteśmy gotowi poświęcić się, jeść trawę, aby ich zbawić?

Ha, ha, ha, co za makabryczna farsa!

—Dość! — w końcu zdołał mi przerwać. — Jesteś do cna zepsuty, dlatego nie możesz tego zrozumieć, że nawet gdyby Albania znikła z powierzchni ziemi, to

nie ma znaczenia, wystarczy, że idee jej Wodza są wiecznie żywe!

Oslupiałem od takiego sformułowania, które słyszałem po raz pierwszy. (Później dowiedziałem się, że użył go minister spraw wewnętrznych na tajnej naradzie partyjnego aktywu).

Chyba wziął moje milczenie za poddanie się. Patrzył na mnie triumfująco przez kilka sekund, póki nie zaatakowałem go w sposób najmniej dlań oczekiwany.

—Mówiąc w ten sposób, rzucasz najcięższe oskarżenie na Wodza - wycodziłem.

— Ja go oskarżam? — roześmiał się. — Hmm, a kto mówi o Wodzu ?

—Ty, właśnie ty — ciągnąłem. — Już sam fakt, że stawiasz alternatywę: albo Albania, albo Wódz, jest jego najcięższym oskarżeniem. To według ciebie znaczy, że albo jedno, albo drugie, gdyż w przeciwnym razie nie ma na świecie miejsca dla obu. Innymi słowy *mors tua vita mea*.

—Ja tak nie powiedziałem! - krzyknął. - Nie wypaczaj moich słów.

—Powiedziałeś — odparowałem. — Słyszałem bardzo wyraźnie: „Niech Albania zniknie z powierzchni ziemi, byle żyły idee Wodza!”.

I nieoczekiwanie wszystko we mnie zamarło. Może to właśnie było skryte marzenie Przywódcy: niech

zniknie z powierzchni ziemi Albania, ten dokuczliwy kraj, z tym biednym narodem, wiercącym się pod stopami, który trzeba wykarmić, rządzić nim! Natomiast zniszczony, wykończony byłby w stanie czystym, nieskazitelnym. Kraj umarł, ale zmartwychwstał w książkach i ideach Wodza. I jakie byłoby to wygodne: żadnej rzeczywistości, która świadczyłaby o tym, że jest inaczej, żadnej plamki, żadnego śladu przestępstwa. Tylko jego książki, jego idee, jego *lamieres*.

—Nigdy tego nie mówiłem! — krzyczał wciąż. — Wypaczyłeś moje słowa, jesteś wcielonym diabłem.

Nasza kłótnia dobiegła końca według ustalonego rytuału: doniosę na ciebie, donieś, ale odium spadnie też na ciebie, nitrogliceryna, i tak dalej, z tą tylko różnicą, że tym razem także ja krzyknąłem: doniosę na ciebie! Posunąłem się jeszcze dalej, podniecony własnym sarkazmem (zauważyłem, że sarkazm mnie uspokaja, zwłaszcza kiedy dobija wujka), dodałem:

- Doniosę na ciebie, tylko mi przykro, że cień spadnie także na mnie!

W tym momencie zupełnie stracił panowanie nad sobą i awantura zakończyła się sceną prawdziwie groteskową, w której mieszały się wzajemne donosy, oskarżenia, jakie rzucaliśmy na siebie aż po rytuał z tabletkami, ale tym razem, ku jego i mojemu

zaskoczeniu, to ja chwyciłem lekarstwa, zażyłem pigułkę i odszedłem chwiejnym krokiem.

Zapewne także wujkowi przypominało się to wszystko, ponieważ zdziwienie w jego oczach rosło. A wraz z nim także uczucie triumfu: Wreszcie także i ty wstąpiłeś na właściwą drogę, chłopcze! Długo się opierałeś, zapierałeś, ale w końcu dałeś się poskromić.

- A więc dali ci zaproszenie - powiedział, klepiąc mnie po ramieniu. — Moje gratulacje! Bardzo się cieszę!

Na osobności zapewne powiedziałby: no, ale teraz nie popelniaj głupstw! Mimo że niczego takiego me usłyszałem, cała jego postawa, spojrzenie, ręka na moim ramieniu - scena jak w kinie studyjnym wytwórni „Nowa Albania” - przekazywały mi te słowa, chyba nawet silniej.

Wyciągnąłem rękę na pożegnanie, ale on odezwał się wesoło:

- A ty dokąd? Zostań tutaj. Stąd dobrze widać.

- Aleja...

Instynkt samozachowawczy podpowiadał, aby nie mówić mu, że mam miejsce na trybunie, ale ponieważ czułem się niezręcznie, w końcu się przyznałem.

Jego zachowanie zmieniło się w okamgnieniu, jak-by me widział w moim ręku zaproszenia, tylko powiadomienie o śmierci.



Wziął je ode mnie, a ściślej mówiąc, wyrwał z ręki błyskawicznym ruchem jak ptak drapieżnik. Jego oczy wpijały się sceptycznie i chciwie w każde słowo, jakby szukały tam niewybaczalnego błędu. Trwało to przez dłuższy czas. Wydawało mi się, że jego ręce drżą, a czoło pokrywa zimny pot. Jego twarz, całe ciało, a nawet groźnie pobrzękujące orderzy zdawały się mówić: to jakieś nieporozumienie! Wielkie nieporozumienie! Ty na trybunie? Ty ze swoimi reakcyjnymi poglądami o partyjnych kadrach, o Stalinie, o wolnym handlu?... Złość i podejrzenia mieszały się w jego wzroku. Można powiedzieć, że gdyby mógł, gotów był telefonicznie powiadomić odpowiednie władze o chęci złożenia wyjaśnienia albo, ściślej mówiąc, niezbędnego donosu. To prawda, że to mój bratanek, ale Partia jest nade wszystko!

- Macie jakiś kłopot? - zapytał jeden z jego towarzyszy, dobronurzy z wyglądu.

—Och, nie, nie.

W końcu wujek zwrócił mi zaproszenie. Miałem wrażenie, że w jednej chwili jego twarz zwiórczała i poszarzała. Jego zaskoczenie nadal nie ustępowało, ale w spojrzeniu pojawił się diabelski błysk. Jego oczy zwęzły się, zwęzły, aż stały się niczym świdrujące szparki. Wpiły się we mnie z intensywnością nie do zniesienia. Nieoczekiwane poczucie wyższości odmie-

niło rysy jego twarzy, która przed paroma sekundami wyglądała jak półtora nieszczęścia. Pytanie, którego obawiałem się najbardziej, uwidoczniło się z całą bezwzględnością. Co takiego zrobiłeś, że dali ci to zaproszenie? A potem szyderstwo: udawałeś gieroja, ale w końcu zrozumiałeś, że inaczej się nie da...

Teraz z kolei ja oblałem się zimnym potem.

My, których tak żarliwie krytykujesz, przynajmniej zapracowaliśmy na te zaproszenia uczciwie, tak jak na wszystko inne. Otwarcie mówimy, co myślimy, i to jest nasze święto. Ale ty, który myślisz inaczej, czego tu szukasz? A może to zawiść nieudacznika skłoniła cię do potępiania wszystkiego w czambuł? A przy pierwszej lepszej okazji zapomniałeś, kim jesteś, i po trupach doszedłeś do tego, o czym skrycie marzyłeś? Musiałeś zrobić coś naprawdę specjalnego, bo nie tylko nas doścignąłeś, ale wszystkich wyprzedziłeś. Tak, coś rzeczywiście ekstra. No cóż, teraz już wiemy, co jest grane, i musimy się ciebie wystrzegać jak zarazy, chłopcze!

Byłem pewien, że mniej więcej takich słów używał, mówiąc do siebie, natomiast ja chciałem głośno krzyknąć: nic z tych rzeczy, o jakich myślisz na swój podły sposób, nie zrobiłem, stary ośle! Przeciwnie, godzinę wcześniej byłem gotów wymienić zaproszenie na

trybunę za jedno spotkanie. Gdybyś tylko wiedział z kim... Ale ty, głupcze, nigdy tego nie zrozumiesz!

Jeszcze trzymałem w ręku zaproszenie, które przed chwilą mi oddał, gdy powiedział:

- Idź już, bo zrobiło się późno!

Jego oczy były lodowate. Gdyby powiedział: „A teraz spadaj mi z oczu, skończony draniu”, nie zabrzmiałoby to bardziej nienawistnie.

Do diabła z tobą, stary dziadygo, kupo orderowego żelastwa, krzychałem w duchu. Odszedłem, nie podając mu nawet ręki.

Po chwili znalazłem się w niewielkiej kolumnie gości, którzy kierowali się na trybuny. Zewsząd odprowadzały nas niechętnie, ukradkowe spojrzenia, w których zawiść, podziw i gorycz splatały się w uśmiech, który równie dobrze można by nazwać antyuśmiechem.

Powinienem był podrzeć to zaproszenie i nigdy nie zjawić się w tym miejscu. Och, Suzi, do czego mnie doprowadziłaś!

## 7

Ogarnął mnie dziki ból jej utraty. Za każdym razem, kiedy bałem się rozstania, moja podświadomość przywoływała właśnie jej imię: Suzi. Zawierało ból, ale

bardziej skłaniało do refleksji nad dumą córki przywódcy, Och, Suzi, do czego mnie doprowadziłaś, potwórzyłem w duchu. Dlaczego właśnie taki dzień wybrałaś na rozstanie?

Byłem pewien, że długo jeszcze będę cierpiał, ale tego dnia ból był nie do zniesienia.

Posuwałem się do przodu zapewne z miną żalobnika kontrastującą z panującą wokół radością, kiedy kilka kroków przed sobą zobaczyłem znajomą sylwetkę. To był malarz Th. D., który również zmierzał na trybunę. Także on prowadził za rękę swoją małą córeczkę (a gdzie się podziały czerwone i niebieskie kokardy?).

Wyteżyłem kroku, aby znaleźć się jak najbliżej niego, chyba ożywiony myślą, że prześlizgnę się niezauważalnie w jego cieniu, a także nieco skorzystam z jego uzasadnionej obecności w tym miejscu. Przynajmniej w jego przypadku powody, dla których stał na trybunie, były wszystkim dobrze znane.

Szedłem i studiowałem jego twarz. Była to zapewne jedyna pochmurna twarz — oprócz mojej — w całym tym odświętnym tłumie. Takim go zwykle widywałem na różnych uroczystościach transmitowanych w telewizji. Widocznie już dawno zdobył prawo do posępnej twarzy. Bez wątplenia było to o wiele cenniejsze niż wszystkie honoraria, jakie otrzymywał.

Nie znalazłem w całym kraju nikogo, kogo uważano by za równie uprzywilejowanego, co prześladowanego. Zdarzało się, że oba te przymiotniki padały pod jego adresem podczas tej samej rozmowy, ba, nawet z ust tego samego rozmówcy. W każdym razie zgadzano się co do tego, że jego relacje z państwem okrywała tajemnica. Mówiono o krytyce i ciężkich oskarżeniach z rodzaju tych, które na zawsze łamią ludzkie życie, ale z wyjątkiem pewnego Plenum KC wszystko odbywało się za zamkniętymi drzwiami. W chwili, kiedy oczekiwano jego upadku („Oberwie czy niczego mu nie zrobią?” — toczyła się dyskusja, w której padały przeciwstawne opinie), znowu pojawił się na trybunie z niezmiennie kamienną twarzą.

Za jaką cenę kupił nietykalność? Podobnie jak my wszyscy, także on miał swojego orła, może najstraszniejszego ze wszystkich, który niósł go przez ciemność.

Wiele rozprawiano o nim w kawiarniach, a zwłaszcza w domach. Mówiono o zazdrości, jaką wzbudzał w partyjnych kręgach, wystawiając swe prace za granicą. Mówiono wiele innych rzeczy, ale najbardziej dzieliła ludzi opinia co do roli, jaką mógł odgrywać we współczesnym życiu narodu. Jedni twierdzili, że pełni tę rolę poprzez swoją twórczość, inni uważali, że nie. Od niego oczekuje się znacznie, znacznie

więcej, obstawali. Tym bardziej iż wie, że nie mogą mu niczego zrobić. A skoro doskonale to wie, dlaczego tego nie wykorzysta?

- Mówisz, że nie mogą mu niczego zrobić - odezwał się ktoś, kto miał inne zdanie. - Otwarcie niczego mu nie zrobią, zgoda. Ale kto może zaręczyć, że tak się nie stanie? Jakiś wypadek samochodowy, jakaś kolacja, na której jakoby podano zepsute potrawy, a następnego dnia okazały pogrzeb i *finita la commedia*. Powiedziałbym nawet, że ataki kierowane od czasu do czasu na niego mają taki właśnie podtekst: nie dziękujesz nam za to, że zostawiamy cię w spokoju, to czego się spodziewasz?

- Ach, tak, nie pomyślałem o tym - przyznał z oczami rozszerzonymi ze strachu, skonsternowany pierwszy rozmówca.

Tak o nim dyskutowano, ale w chwili, kiedy siedłem za nim, interesował mnie tylko fakt, że nikt nie może mu zarzucić, iż prawo do zasiadania na trybunie zdobył dzięki zwykłej podłości. Zacząłem na ślepo przekonywać siebie, że także ja skorzystam z jego uprzywilejowania w drodze na trybunę, która zmieniła się dla mnie w drogę krzyżową.

Przywital się z kilkoma wyższymi urzędnikami (na takich przynajmniej wyglądali, sądząc po ubraniu), którzy po kolei głaskali jego córeczkę po głowie.

- Ten pan kieruje prasą, natomiast ten jest ministrem spraw zagranicznych — powiedział do córki, uśmiechając się w taki sposób, jakby pokazywał jej zabawki. Albo może tak mi się wydawało, ponieważ każde jego zdanie wypowiedziane z taką lekkością wydawało się splywać z wyżyn, z których ten, który już teraz wie, że jest nieśmiertelny, komentuje ulotność rzeczy.

- Kto jest ważniejszy, minister spraw zagranicznych czy minister spraw wewnętrznych? — usłyszałem pytanie córki, kiedy się oddalali.

Podszedłem jeszcze bliżej, aby usłyszeć odpowiedź.

- Hmm... jak by ci powiedzieć? Sprawy wewnętrzne są zawsze najważniejsze.

- Ale zagraniczne są ładniejsze - zaprotestowała córka.

Roześmiał się.

- Ach, masz na myśli sukienki. Masz rację.

Byliśmy już prawie pod trybunami. Oczekiwała nas kontrola o wiele ostrzejsza niż poprzednie.

Wyjąłem zaproszenie i podszedłem do barierki. Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że słyszę dzwonienie w uszach.

—Dokumenty!

—Ach tak. Przepraszam!

Jeszcze kilka metrów i zaczynała się inna strefa i inna atmosfera. Ulokowały się tam delegacje obcych państw, dyplomaci, którzy szukali swoich miejsc, a także reporterzy telewizyjni.

Lekkim krokiem przekroczyłem dzielącą mnie od nich przestrzeń. Czulem, że moje ruchy zdradzają zdenerwowanie, zwłaszcza twarz, a dokładniej uśmiech, który zapewne się do niej przykleił. Ktoś mi pokazał, jak dojść na trybunę C-I, co natychmiast uleciało mi z pamięci, póki ktoś inny ponownie nie wskazał mi drogi. Goście bez przerwy trącali mnie ramionami.

Ale dlaczego dotarli aż tutaj? W pierwszej chwili widziałem to pytanie w oczach wszystkich, lecz zaraz potem pomyślałem, że jest ono tylko w mojej głowie. Powszechny uśmiech radości był jak sos, który spaja i nadaje jednakowy smak wszystkiemu. Jesteśmy tu teraz sami swoi. Co i jak robiliśmy, nie ma znaczenia! Ostatecznie, wszyscy przeszliśmy tę samą drogę. Drogę, która przywiodła nas tutaj. Do stóp władzy, boskiego światła, Olimpu.

Wydawało mi się, że dwoje wodnistych oczu wpatruje się we mnie ze złością. Może nie rozkoszowały się szczęściem, ponieważ dostrzegły mnie. Kim jest ten zwykły śmiertelnik w miejscu dla wybrańców? Oskarżył kogoś albo na kogoś doniósł, w porządku,



ale to o wiele za mało, aby dostać się aż tutaj. Gdyby tak było, połowa Albanii...

Obrzydzenie wywołane wodnistymi oczami wkrótce minęło. Naprzeciwko trybuny orkiestra dalej grała świąteczne marsze. Flagi załopotaly jeszcze żywiej, jakby czuły, że zbliża się godzina dziesiąta. Przez chwilę widziałam znowu Th. D., potem zniknął mi z oczu. Może poszedł dalej. Na trybunę B, a może nawet na A.

## 8

W mojej głowie wciąż panował dziwny zamęt. Było to chyba upojenie wywołane bliskością władzy. Nie przypadkiem wymyślono te wszystkie flagi i fanfary.

Z pewnością euforia byłaby całkowita, gdyby na przeszkodzie nie stał smak pogrzebu. Pogrzebu Suzany. Straciłem Suzanę w chwili, kiedy przyjąłem zaproszenie na trybunę. I kwiaty, i muzyka, i odświętna czerwona draperia równie dobrze mogą towarzyszyć jej ostatniej drodze. Ofiarowaniu.

*Błagania i okrzyki wznoszone do ojca*

*Ani jej niewinność*

*Nie wzruszają wodzów idących na wojnę*

Nie mogłem przestać myśleć o tym, co w ostatnich dniach przeczytałem o złożeniu w ofierze córki Agamemnona. Świąteczny gwar wokół, muzyka i hasła wypisane na czerwonych transparentach wcale mnie nie razily, wręcz przeciwnie - jeszcze bardziej pociągały. Dwa tysiące osiemset lat wcześniej wielki tłum, podobnie jak ten, który dzisiaj ciągnął na trybuny, zmierzał do ołtarza przyozdobionego może także czerwoną tkaniną.

Dokąd tak śpieszycie? - Co się dzieje? - Jeszcze nie wiesz? - Mówią, że córka Agamemnona zostanie ofiarowana.

Córka Agamemnona?

Plotki od kilku dni krążyły po Aulidzie pełnej wojska. To prawda, że wiatr wiał nieustannie, morze pieńilo się wokół statków zakotwiczonych przy brzegu. Ale niezależnie od pogody wielu ludzi słuchało z niedowierzaniem tego, co mówiono o powodach opóźnienia wyprawy pod Troję. Czy rzeczywiście wiatry stanęły na przeszkodzie, czy była inna przyczyna? Wiatr wiał także wtedy, kiedy płynęliśmy tutaj, a nawet większy. Jeśli trwają klótnie między wodzami, jak chodzą słuchy tu i ówdzie, dlaczego nie przyznają się do tego otwarcie?

- Przepraszam, towarzyszu, która godzina?

Byłem tak pochłonięty myślami, że gdyby ów mężczyzna, który zapytał mnie o godzinę, chwycił mnie za lokiec, jak to się często zdarza w takich wypadkach, jestem pewien, że odskoczyłbym jak oparzony. I Bóg jeden wie, jakie wzbudziłbym podejrzenia!

Wydawało mi się, że ktoś się do mnie uśmiecha, i powiedziałem do siebie w duchu: jesteś tak nieprzytomny, że nawet ludzi nie poznajesz, póki nie zrozumiałem, że ten ktoś uśmiecha się, ale do kogoś innego, do mężczyzny o twarzy pomarszczonej jak suszona liga. Nie wiem, co przyciągnęło moją uwagę w tej twarzy, której zmarszczki układały się w niedowierzający uśmiezek, ironię albo znamionowały wiedzę o czymś, o czym zwykły śmiertelnik nie ma pojęcia. Och, to doradca ojca Suzany! - przypomniałem sobie. Tak, to był on. Kiedy rok wcześniej przyszedł na zebranie do telewizji, jeden z moich kolegów szepnął mi do ucha: to jest prawa ręka towarzysza Iks.

Przyglądałem mu się z wrogą uwagą. Czy coś wiedział o mającej nastąpić przemianie Suzany? Z pewnością wiedział, przecież był najbliższym powiernikiem jej ojca. A może jeszcze gorzej. Może był pomysłodawcą złożenia jej w ofierze. Jak Kalchas...

Znowu cofnąłem się myślami do starożytnego portu Aulidy. Brzeg morski grzmiał nieustannie falami rozbijanymi o brzeg i rozprężenie wśród żołnierzy zwiększało ducha demobilizacji. Wielu marzyło o rezygnacji z wojny i o powrocie do domu, do żon albo narzeczonych. Szeptano, że wyprawa zostanie odwołana, gdy nagle, jak grom z jasnego nieba, gruchnęła inna wieść: Agamemnon, głównodowodzący, aby uspokoić wiatry, złoży w ofierze swoją córkę!

Większość na początku nic wierzyła własnym uszom. Nie wierzyli poplecznicy dowódcy floty. Czy taka ofiara jest rzeczywiście potrzebna? - pytali zasmuceni. Nie wierzyli jego oponenti, ponieważ nie kwapili się przyznać, że ich wódz jest zdolny do takiego aktu poświęcenia. Nie chcieli w nią uwierzyć także ci, którzy z niecierpliwością oczekiwali na odwołanie wyprawy.

Nie, to niemożliwe. To istne szaleństwo i w dodatku zupełnie niepotrzebne. Jeśli chodzi o wiatr, to starzy żeglarze orzekli, że nie może być usprawiedliwieniem dla takiego nieszczęścia. Poza tym skąd można wiedzieć, że po tej ofierze wiatr rzeczywiście ucichnie? Tak poradził wieszczek Kalchas, a wiadomo, że to człek podejrzany.

Jeszcze raz poszukałem wzrokiem doradcy ojca Szuzany, ale nigdzie go nie zobaczyłem. Gdybym go znalazł, to byłbym zdolny z obłudą w oczach zapytać: Czy to ty podsunąłeś jej ojcu ten przewrotny pomysł? Ale dlaczego, dlaczego?

Robert Graves dużo pisze o Kalchasie. Według najstarszych źródeł, była to postać najbardziej zagadkowa. Wiadomo, że ten Trojańczyk został wysłany przez

Priama do Greków, aby sabotować wyprawę, ale przeszedł na stronę Greków, a więc stał się renegatem. Nie sposób jednak nie zadać pytania: czy naprawdę nim był, czy tylko udawał? A może, jak się często zdarza w takich przypadkach, po wielu rozterkach, w wojnie, która nie miała końca, został podwójnym agentem?

Rada, aby złożyć w ofierze córkę Agamemnona, wydaje się kluczowa w karierze wieszczka. (Nie należy zapominać, że jego wróżby, jak wróżby każdego renegata, były traktowane podejrzliwie). Jeśli pozostał zaufanym Priama, było oczywiste, że chciał poświęcenia córki wodza, aby podżegać Greków do klótni i podziałów, których i tak było co niemiara. A jeśli rzeczywiście przeszedł na ich stronę, rodzi się wówczas pytanie: Czy wierzył w to, że podobna ofiara uciszy

wiatry (albo coś innego: namiętności, nieporozumienia) i ułatwi flocie wyjście w morze?

Kimkolwiek byt, prawdziwym czy fałszywym renegatem, agentem prowokatorem albo podwójnym agentem, jego rada była niezwykle śmiała, by nie powiedzieć szalona. Wieszczek, szczególnie w tak delikatnych okolicznościach, musiał mieć wielu wrogów, którzy skwapliwie wykorzystaliby każde jego potknięcie. Bez wątpienia stał na z góry przegranej pozycji.

Było zatem wielce prawdopodobne, że Kalchas niczego nie sugerował Agamemnonowi, który z siebie tylko wiadomych powodów sam wpadł na pomysł poświęcenia córki. Nic było trudno włączyć później imię Kalchasa w całą tę historię, aby usprawiedliwić Agamemnona w oczach opinii liberalnie nastawionej do przestępstwa i ukryć prawdziwy powód jego decyzji. Całkiem możliwe, że w chwili wyruszenia floty w ogóle nie było wiatru i że ofiarę złożono bez słowa wyjaśnienia...

Żołnierze wraz z mieszkańcami Aulidy zmierzają do miejsca, w którym wzniesiono oltarz. Może przygotowano także zaproszenia, aby zapobiec zamieszaniu. Wszystkim cisną się na usta pytania: Czym jest ta ofiara? W imię czego? Wyczuwa się od

razu, że brak jasnej odpowiedzi zwiększa ciężar strachu.

Nie, Kalchas nie dał żadnej rady. Każda jego wróżba wydawałaby się zbyt podejrzana, a nawet uchodziłaby za szatański pomysł. Dlaczego zatem w głowie Agamemnona pojawiła się myśl, aby poświęcić własną córkę?

Na trybunie goście płynęli spokojną i harmonijną falą w poszukiwaniu miejsca, z którego najlepiej widzieliby defiladę. Środkową trybunę miało zająć najwyższe kierownictwo.

Przemieszczałem się razem z innymi, gdy zobaczyłem Suzanę. Była w sektorze C-2, trochę poniżej nas, w niewielkiej grupie synów i córek dygnitarzy.

Z lekko pobladłą twarzą, z obojętnością dostrzegalną częściowo w profilu, a nawet jakby odbijającą się w spince w ciężkich włosach, patrzyła gdzieś przed siebie, w kierunku orkiestry.

Dlaczego chcą ciebie poświęcić, Suzano — zawołałem w duchu z ukłuciem w sercu.

Jakie wiatry masz uspokoić?

Przez dłuższą chwilę czułem w sobie pustkę. Byłem pusty wewnętrznie i śmiertelnie wyczerpany. Zapytałem siebie: czy nie przesadziłem z tą analogią? Może wszystko jest o wiele prostsze, może wiele dziewcząt zmienia swe zachowanie przed

zareczynami? I tej banalnej przemianie mój rozedrgany umysł nadal tragiczny wymiar.

Uczepiłem się słowa „poświęcenie” i posunąłem do skrajnie naciąganego porównania, podobnie jak młodzi poeci, którzy splodziwszy w ogromnych bólach jakąś poetycką figurę, tak się w niej zakochują, ze wznoszą wokół całą literacką nadbudowę, choć jej fundamenty są z piasku.

Nigdy nie myślałem, że nieoczekiwane podobieństwo między Suzaną a Ifigenią, jedna z tych przypadkowych, płomiennych i przelotnych iskier, które przeemykają przez ludzki mózg tysiące razy dziennie, utkwi w mojej głowie aż do pełnego utożsamienia Suzany z Ifigenią. Utożsamienia do tego stopnia, że gdybym usłyszał gdzieś w radiu, telewizji albo w teatrze zdania typu „Suzana, córka Agamemnona” itd., itp., wydalyby mi się one całkiem normalne. To utożsamienie sprawiło, że wszystkie pozostałe sceny antycznego dramatu widziałem w nowym świetle, wiążąc je z Suzaną i jej ojcem. Relacje między Agamemnonem a innymi wodzami, walka o władzę, o umocnienie pozycji w przywództwie, racje państwowe, ustanowienie żelaznej dyscypliny, terroru...

Przez pewien czas, jakby chcąc się jak najszybciej uwolnić od męczącego ciężaru, mój mózg skoncentro-



wał się na oddramatyzowaniu wydarzeń. Potem nagle mechanizm zatrzymał się, boleśnie zaskrzypiał i zaczął się obracać w przeciwnym kierunku. Spokojne, ale pewne NIE opanowało całą moją istotę.

Nie, to nie mogło być takie proste. Byłem zmęczony, bliski załamania nerwowego. To nie słowo „poświęcenie” ani książka Gravesa zasiały w mojej głowie tę analogię. Było coś innego, coś, czego kłębiące się myśli me pozwoliły mi jeszcze odkryć, ale czułem, że jestem już blisko. To coś było właśnie tutaj, na oczach wszystkich, wystarczyło obudzić się z odrętwienia na chwilę, aby to dostrzec... Stalin... czyż nie poświęcił swojego syna Jakowa, aby... aby... mieć prawo powiedzieć, że jego syna... powinien spotkać... spotkać taki sam... los... los... los... jak każdego rosyjskiego żołnierza? A co Aga- memnon próbował osiągnąć dwa tysiące osiemset lat temu? A co dziś próbuje osiągnąć ojciec Suzany?

Jej profil, który mignął gdzieś między stłoczonymi ludźmi, przerwał tok moich rozważań. Nie wiem dlaczego, przypomniało mi się nasze pierwsze spotkanie. Obraz dziewczyny ze strużką krwi... Taki utrwalił się w mojej pamięci. Było późne jesienne popołudnie. Po pierwszym pocałunku na kanapie popatrzyła mi długo w oczy i powiedziała spokojnie: Kocham cię! Wpatrywała się we mnie pytająco, jakby chciała się dowie-

dzieć, czy ją zrozumiałem. Oczekiwała ode mnie tylko potwierdzenia tego, co wyznała, a kiedy ja, trochę oszołomiony przecuciem łatwego zwycięstwa, spytałem niepewnym głosem: położymy się?, w jednej chwili podniosła się i z takim samym spokojem, z jakim mówiła, zaczęła się rozbierać.

Śledziłem jej opanowane ruchy, koronkową bieliznę, kiedy zdejmowała sukienkę, białe nogi, kiedy ściągnęła pończochy. Wstałem z kanapy i ostrożnie ją objąłem, jakby była lunaticzką, którą mógłbym obudzić, a kosmyk włosów przycisnąłem mocno do prawego policzka. Podobają mi się luksusowe kobiety, powiedziałem cicho, nie wiedząc ani wtedy, ani potem, czy słowo „luksusowe” odnosiło się do jej zachodniej bielizny, drogiej spinki wpiętej we włosy czy łatwości i prostoty, z jaką mi się oddawała.

Na kanapie bez najmniejszego oporu zdjęła majtki i rzeczywiście wszystko odbyłoby się jak w sennym marzeniu, gdyby nagle coś drżącego, ziemskiego nie wtargnęło między nas. To napięcie w ogóle nie pasowało do jej swobodnego zachowania, które na próżno usiłowała ukryć.

- Co się stało, Suzano? - zapytałem, łapiąc oddech.

Nie odpowiedziała. Poczulem tylko skurcz dobiegający z głębi i rozlewający się po całym ciele i nagle zrozumiałem. Moje zdumienie było tym większe, kiedy ona bezbarwnym głosem oznajmiła: „Jestem dziewicą!”.

Leżeliśmy długo na kanapie, nie odzywając się do siebie, a potem ona z uśmiechem, który można raczej nazwać poświatą nad kośćmi policzkowymi, powiedziała: „Było tak sobie, prawda?”.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale ona ciągnęła: „Dlatego się nie przyznawałam”.

Nie byłem w stanie zareagować, może dlatego, że szczęście będące na wyciągnięcie ręki otulił welon smutku. Zwycięstwo, które chwilę wcześniej wydawało mi się tak łatwe, teraz stało się jednym z najtrudniejszych.

Nie gub mnie, Suzano, błagałem w duchu.

Orkiestra nagle zamilkła, głośniki zagrzmiały burzą oklasków i wszystkie głowy zwróciły się w kierunku głównej trybuny. Wchodzili przywódcy. Ze swojego miejsca mogłem dostrzec tylko kilku z nich. Nie widziałem Wodza ani ojca Suzany, który być może stał obok. Z sektora C-I widać było wyraźnie cztery głowy. Czy rzeczywiście były wielkie, czy tylko takie mi się wydawały, ponieważ przypomniało mi się określenie „bezmózgie olbrzymy”, którym, jak mówiono, scharakteryzował ich nasz kolega z redakcji muzycznej. Skazano go na ciężkie roboty w kopalni, ponieważ zapytał, dlaczego po czterdziestu latach budowania socjalizmu większość członków Biura Politycznego nadal wybierana jest spośród ludzi bez wykształcenia. Podobno tak powiedział na pewnym przyjęciu. Niektórzy utrzymywali, że posunął się jeszcze dalej. Ponoć twierdził, że rząd dziesiętnastowiecznej Ligi Prizreń- skiej był lepiej wykształcony aniżeli obecny, ale na zebraniu, na którym wyrzucono go z pracy, o tym nie wspomniano. Tak jak w moim przypadku słowa te uznano za zbyt zuchwałe, aby wymawiać je głośno. Były to słowa przekłete. I dokładnie tak samo jak mnie wytknięto

mu kilka błędów zawodowych, liberalne poglądy na zachodnią muzykę oraz żarty z pracy produkcyjnej.

Największym zwycięstwem Partii jest nasz nowy człowiek... To świetlane zwycięstwo... Zamieszkujemy najszczęśliwszy kraj na ziemi... bez zagranicznych długów, bez podatków... Jedyny kraj socjalistyczny!

Urywki przemówienia inauguracyjnego przelatywały, jak za każdym razem, mimo moich uszu. Znałem je na pamięć, te przemówienia były śmiertelnie nudne, wyświechtane, oklepane do imentu. Padaly kolejne slogany i jak w teatrze cieni przesuwaly się przed moimi oczami twarze znajomych, skazanych właśnie z ich powodu. Wystarczyło rozejrzeć się wokół, aby zderzyć się z hasłami, symbolami albo portretami, które doprowadziły do zniszczenia ludzi. Konstytucja, która zabrania pobierania kredytów z zagranicy, obfitość (to znaczy brak) mięsa, dekadent Sartre, kształt oczu Mao Zedonga.

Nasz kolega z redakcji muzycznej miał i tak więcej szczęścia niż młody chłopak z działu technicznego, który palnął coś o przywilejach przywódców i ich dzieci, willach, podróżach za granicę. Oczywiście, znowu otwarcie nie uczyniono mu z tego, zarzutu, ale wytknięto całkiem inne rzeczy: poglądy na temat wolnej miłości (powód wystarczający do wyrzucenia z pracy) i rozmowę z zagranicznym turystą, która

ostatecznie go pograżyla. I jakby tego było mało, mówiono, że w trakcie śledztwa nie tylko przyznał się do tego, co powiedział o „dworze”, ale dalej oskarżał. Mówił o transferze złota i diamentów do zagranicznych banków, tak samo jak w czasach króla Zoga, o tajnych zabójstwach i o innych mrocznych sprawkach. Nie oszczędził nikogo, nawet samego Wodza, a zwłaszcza jego żony, którą nazwał główną duchową sprawczynią przestępstw, prawdziwą Lady Makbet, tyle że zaściankową Lady Makbet, Jiang Qing\* Albanii itd., itp.

Skazano go na piętnaście lat więzienia, ale nie odsiedział nawet jednej czwartej... W kopalniach chromu, jak mówiono, znajdują się głębokie szyby, do których więźniowie pospolici niby przypadkiem spychają politycznych. I tak upadek głową w dół, w którym okrutnie, w ciągu kilku sekund, zagaścił się los człowieka, zakończył wszystko.

Jiang Qing (1914-1991) - czwarta żona Mao Zedonga, aktorka, jako główny czionek tzw. bandy czworga miała duży wpływ na rewolucję kulturalną (1966-1976).

Przywileje przywódców, a zwłaszcza ich dzieci, były stałym tematem moich sporów z wujem. Ale w tym przypadku nie wściekał się tak jak w innych. Chyba także jemu coś się nie podobało, coś me pasowało, chociaż nie chciał się do tego przyznać. Moje dyskusje

na ten temat skończyły się, kiedy poznałem Suzanę. Zdumiała mnie. Czy to, co mówiono o dzieciach dygnitarzy, nie było prawdą, czy też ona różniła się od innych? Szybko zrozumiałem, że Suzana rzeczywiście była inna.

Dlatego wybrano ciebie na ofiarę, pomyślałem. I w tej samej chwili, nieoczekiwanie, jak potężna fala, uderzyła mnie nagle myśl: a jeśli to poświęcenie jest jedynie zmyłką? A jeśli Suzana tylko udaje przed światem zwykłą, skromną dziewczynę, natomiast tam, w ich dzielnicy, w willach i na ekskluzywnych plażach, prowadzi rozpustne życie, z tańcami, alkoholem i seksem?

Poczułem ukłucie zazdrości, jak cięcie brzytwą. Czyż nie czytałem, że złożenie w ofierze córki Ifigenii mogło być upozorowane? Na oltarzu w ostatniej chwili zamiast niej złożono lanię. A zatem klasyczne widowisko dla zmylenia gawiedzi. Rozwiązanie typowe dla każdego władcy. Moja Suzana w nadmorskich willach przez całą zimę tańczy jak szalona, leży naga na kanapach, jęczy z rozkoszy... Nie, lepiej niech umrze, przypadnie.

Pewnego popołudnia nagrałem na magnetofon jej westchnienia i pojękiwania i *późną* nocą, kiedy wszyscy spali, zamknąłem się w kuchni, aby posłuchać nagrania. Dziwne było słuchanie tego jęku w oderwa-

niu od aktu, od jej widoku. Głos był płaski, chropowaty, pełen oddechu i przestrzeni. Uliczny hałas - czyjeś pogwizdywanie, daleki klakson samochodu - nadawały mu kosmiczny wymiar, jak meteoryty na skraju nieba w letnią noc.

Przewinałem kasetę kilkakrotnie i poczucie kosmicznej utraty zamiast osłabnąć, wzmogło się jeszcze bardziej. Wydawało mi się, że jestem daleko, oddzielony od niej. Raz miałem wrażenie, że leży w ziemi, a ja nad grobem słucham jej skargi, kiedy indziej, że to ja jestem pochowany i leżąc w trumnie, słyszę jej westchnienia poprzez hałas zewnętrznego świata.

Pewnego razu zwiększyłem natężenie głosu do maksimum, jakbym chciał cały świat wypełnić jej ciężkim oddechem, i w tym momencie uświadomiłem sobie, że prócz czarnego wzgórką łonowego, jeszcze nie widziałem samego łona, prawdziwego źródła mego szaleństwa.

Na następnym spotkaniu, skupiona, jak we wszystkim, co się wiązało z miłością, ułożyła się w taki sposób, że poniżej włosów łonowych widziałem bladoróżowe wargi. Przez kilka sekund patrzyłem na nie z pewnym zdziwieniem i moje oczy musiały wyrażać zaskoczenie myśliwego, który po tym, jak usłyszał



dziki ryk, nieoczekiwanie odkrywa, że w gąszczu nie bestia się ukrywa, ale bezbronne zwierzątko.

W istocie jej lono wydało mi się zwyczajne wobec bogactwa jej złożonej natury. Niechcący porównałem je do łona mojej bylej narzeczonej. Okazały, powiedziałbym, barokowy, złożony mechanizm miłości. Ale może i ono takie nie było na początku, ale dopiero z upływem czasu się zmieniło po wielokrotnym użyciu... Całe strumienie spermy przez nie przepłynęły... I nie tylko mojej. Przede mną utrzymywała kontakty z dwoma innymi mężczyznami i być może ta tajemnica wyolbrzymiała je w moich oczach. Natomiast Suzana była niedoświadczona. Może później także jej lono okryje złożoność tajemnicy... Może później, ale wtedy już nie będę go smakować.

## 10

Nagle zagrzmiała orkiestra i drgnąłem. Rozpoczęła się defilada.

To był ten sam stary schemat, który po tylekroć widzieliśmy w telewizji. Gimnastycy wykonują figury z kijkami przyozdobionymi szturmówkami, bukietami kwiatów i wstążkami. Po nich maszerują wielokolorowe drużyny sportowców - dziewcząt i chłopców. Następnie powinny nadejść kolumny delegacji z różnych

przedsiębiorstw, na czele jak zwykle metalurdzy, potem kolejno górnicy, włókiennicy, pracownicy handlu, kultury, przedstawiciele dzielnic, szkół, uff... Ponad ich głowami kołyszą się sztywno wielkie portrety członków Biura Politycznego. Mój wzrok szuka tylko jednego portretu, ojca Suzany. Dlaczego zażądał od córki zmiany ubioru i zachowania? Jaka miałyby być tego wymowa? Jaki symbol?

Jeśli był to krok podjęty ze strachu (gdyby jego akcje spadały), można to zrozumieć. Ale on nie tylko nie spadał, lecz przeciwnie, codziennie piał się wyżej. I właśnie owa wspinaczka zrodziła, co więcej, nadała rangę słowu „poświęcenie” i wpłynęła na zmianę przyszłości Suzany.

Jego portret był teraz prawie na wysokości trybuny. Po raz dziesiąty stawiałem sobie pytanie: co to znaczy?

Kilka lat wcześniej zaciekla kampania przeciwko liberalizmowi w kulturze właśnie tak się zaczęła, prawie w sposób niezauważalny. Z okręgu Lusznja nadszedł list z uwagami na temat sukienki, jaką miała na sobie prezenterka na Festiwalu Piosenki w telewizji. Z redakcji muzycznej list, któremu towarzyszyły uśmiechy i ironiczne komentarze, dotarł do jednego z wicedyrektorów Radia. (Nie spodobała się im długa suknia prezenterki. Ech, zacofani, szkoda słów!

Wszystko mają za złe. Nawet nie można się na nich gniewać, chyba że to jest ukartowane). Wicedyrektor mniej więcej w takim samym nastroju, bardziej dla porządku niż dlatego, że się tym przejął, pokazał list dyrektorowi Radia. Ów zaś, bojaźliwy z natury, nie śmiał się, ale też nie zrobił z tego użytku. Powiedział jedynie: z takimi rzeczami należy uważać, niekiedy można sobie napytać biedy, czym zmroził w jednej chwili wicedyrektora. I dopiero dwa dni później, gdy na wspólnej kawie dyrektor generalny Radia i Telewizji („wielki szef, jak go nazywano) ze śmiechem zapytał o „słynny list z Lusznji", wicedyrektor całkowicie się rozluźnił.

Dowcipkowali razem przy bufetowym stoliku: dyrektor generalny Radia i Telewizji, sekretarz Partii i bojaźliwy dyrektor Radia.

Ale bardzo szybko śmiech ugrzązł im w gardle. Tydzień później dyrektor generalny dostał telefon z Komitetu Centralnego właśnie w sprawie tego listu. Zapytano go, dlaczego na niego nie odpowiedział. Dyrektor zaczął się bronić: do jego obowiązków nie należy odpowiadanie na każdy list, a tym bardziej na tak głupi jak ten.

Kierownicy najniższego szczebla, którzy nie palali zbytnią miłością do wielkiego szefa i którzy nie mieliby nic przeciwko temu, aby dostał nauczkę, byli

zgodni, że w tym wypadku ma rację, ponieważ w istocie mieli po dziurki w nosie takich listów od narodu.

Kilka dni później dyrektora generalnego wezwano do Komitetu Centralnego, skąd wrócił z ponurą twarzą. Tego samego popołudnia zwołano zebranie, na którym sekretarz Partii powiedział, że należy wnikliwie traktować wszelkie oddolne uwagi płynące od mas, i złożył samokrytykę. Po nim zabrał głos dyrektor, mówił bardzo krótko, podkreślił, jak szkodliwe jest lekceważenie uwag płynących z dołu, i złożył (rzecz niesłychana) samokrytykę z powodu listu z Lusznji.

Pracownikom Radia i Telewizji wydało się to lekką przesadą. Po zakończeniu zebrania i przez kilka następnych dni wielokrotnie dyskutowaliśmy, czy należało podważać autorytet dyrektora generalnego z tak błahego powodu. Prawie wszyscy byliśmy zdania, że nie należało. Tym bardziej że był on członkiem Komitetu Centralnego i że w tym wypadku bronił, bądź co bądź, jedynie interesów Radia i Telewizji.

Trzeba jednak powiedzieć, że prócz złości wszyscy (zapewne włącznie z samym wielkim szefem) doznaliśmy uczucia ulgi. Oto w końcu spełnił się czyjś kaprys, aby utrzyć nosa wielkiemu szefowi (tak wszyscy odebraliśmy te naciski). Dwa-trzy ogólnikowe

zdania, podobne do haseł wypisanych na murach („Zawsze uczmy się od narodu!", „Bądźmy skromni", itd.), i wszystko minie. Samokrytyka jest rzeczywiście cudownym lekarstwem.

Nikomu nie przyszło do głowy, jak bardzo się myliliśmy. Tydzień później, po zebraniu partyjnym, na który m, jak mowiono, dyrektor generalny oraz inni kierownicy znowu złożyli samokrytykę, tym razem poważną i głęboką, powiadomiono nas, że odbędzie się zebranie załogi. (Czyżby to jeszcze nie koniec? Nie wierzę, to niemożliwe! Po co ciągnąć tę sprawę i ją upubliczniać?).

Zebranie istotnie dotyczyło tego, co przypuszczaliśmy. Przedstawiciel KC świdrował nas oczami. Bardzo powierzchownie potraktowaliście tę sprawę, towarzysze. Zadowoliliście się płytką samokrytyką, nie starając się zgłębić i odsłonić przyczyn i korzeni zła. Ale Partii tak łatwo się nie oszuka!

W oczach wielkiego szefa kryło się zmęczenie. Zmęczone były również twarze pozostałych. Ale okazało się, że jest to dopiero początek serii zebrań, które stały się dla nas wszystkich drogą przez mękę. Wychodziliśmy z nich zmienieni nie do poznania, złamani, poranieni, z wyrzutami sumienia.

Odległe, jak z innej epoki, wydawały się nasze początkowe rozważania o zachowaniu szacunku dla dy-

rektora generalnego, strach, aby go nie urazić itd. Teraz chodziło o coś innego: o ratowanie własnej skóry przed nieszczęściem, które może spaść na każdego. Kolejny nowy dzień wprowadzał nieoczekiwane zmiany w naszym sposobie myślenia i w psychice. To, co wczoraj wydawało się nielogiczne, absurdalne i niemożliwe, nazajutrz było logiczne, wiarygodne i możliwe, aby pojutrze przelamać jeszcze straszniejszą barierę.

Pierwszym, który tego doświadczył, był dyrektor Radia. Myślał, że na jego korzyść będzie przemawiać fakt, iż zaniepokoił go list z Lusznji. Powiedział wtedy (co było prawdą): „Z takimi rzeczami należy uważać, bo niekiedy można sobie napytać biedy”, ale wialnie to go zgubiło. Skoro was to zaniepokoiło, dlaczego nie zajęliście się tą sprawą? Nie chcieliście narażać się dyrektorowi generalnemu? Czy to była służalczość, czy jeszcze coś gorszego? Mówcie, towarzyszu, wyjaśnijcie! Jesteście bardziej niebezpieczni aniżeli ci, którzy są obojętni. Widzicie zło i przymykacie na nie oko!

Po zesłaniu dyrektora Radia wpierw na wieś, a potem do kopalni, większość z nas myślała, że znaleziono w końcu ofiarę i burza przejdzie bokiem. Ale tak się nie stało. Zebrania nadal trwały w takim samym katastrofalnym rytmie niszczenia wszystkiego

dokoła. Najgorsze jednak było akceptowanie przez naszą psychikę tego, co do wczoraj wydawało się ohydne. W dniu dziury otwierała się nowa dziura i każdy myślał: och, byle nie dalej, wszystko ma swoje granice, to jest rzeczywiście świństwo! Ale następnego dnia świństwo zajmowało miejsce w porządku wartości i nie robiło już na nikim wrażenia. A co gorsza, osłabione sumienia starały się znaleźć na to jakieś usprawiedliwienie.

Czuliśmy, jak każdego dnia wciąga nas bezpowrotnie w swoje tryby mechanizm współwiny. Musieliśmy mówić, oskarżać, obrzucać błotem najpierw siebie, potem kolegów. Mechanizm był iście diabelski: gdy już sam się poniżyłeś, łatwiej było kłać wszystkich wokół. Każdego dnia i w każdej godzinie poprzednio akceptowane wartości moralne bladły. Ludzi ogarnęło delirium upodlenia, zaczęli nurzać się w podłości. Sprzedaj mnie, bracie, nie będzie mi przykro, ja sprzedawałem cię wielokrotnie, także dzisiaj! I pętla wzajemnej winy zaciskała się wokół wszystkich.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to nic innego, jak machina nienawiści wprawiona w ruch przez złą wolę, karierowiczostwo, żądzę odwetu. Ale jeśli spojrzeć głębiej, sprawa była bardziej skomplikowana. Jeśli mineral stanowi mieszaninę różnych kamieni, to podobną mieszaninę stanowiło coś, co wydawało się

nie do połączenia: okrucieństwo, litość, skrucha, chora radość, że w ciebie nie uderzono, przesądny strach, że przyjdzie ci zapłacić za tę radość. Poczucie fatalizmu i utraty równowagi duchowej zwiększał jeszcze brak reguł i logiki. Zaatakowano tych, którzy powstrzymywali się od przyłączenia do nagonki. Towarzyszyło im współczucie, ale dziwaczne, w formie złości („biedacy, choć dobrze im tak, myśleli, że się im upieczel!”). Uderzono nieoczekiwanie w historyków, tych, którzy krzyczeli najgłośniej przeciwko oskarżanym i domagali się dla nich najsurowszych kar. Ich upadek przyjęto z przyływem radości („dobrze im tak, na tym świecie wszystkie rachunki są wyrównywane!”). Ucierpieli ci, którzy okazali się uparci i nie złożyli samokrytyki na samym początku, ale podobnie, jeśli nie gorzej, dostało się tym, którzy złożyli samokrytykę i pośpieszyli się z donosem na samych siebie.

Nie wiadomo, co było lepsze: przeczekać gdzieś czy się przeciwstawić, być znanym czy jednym z tłumu, być w Partii czy poza nią. Podobnie jak podczas trzęsienia ziemi ludzie biegają w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia, ale schronienie, które przed chwilą wydawało się pewne, nagle takim być przestaje. Wszystko było w ruchu, przemieszczało się i ta niestabilność odbijała się w ludzkich myślach i w psychice. Zwyródniałe myśli



rozwiewały każde dążenie do sprzeciwu, a tym bardziej do buntu. Nikt nie pytał: co to jest, co się dzieje, dlaczego? Nawet do głowy nikomu nie przyszło, aby się na to złościć, podobnie jak nie można czuć złości do grzmotów i błyskawic.

Czy liczone na to, że machina będzie działać na zasadzie niszczącego wiru, nad którym nietknięte, jak samo fatum, pozostanie państwo? Czy też tajemniczy zbieg okoliczności udoskonalił jej działanie? Wydaje się, że nagłość uderzenia, niemożność przewidzenia kierunku, z którego nadejdzie burza, a przede wszystkim wybór na ślepo ofiar budziły na przemian strach i podziw dla państwa.

Bezwolni, z okaleczonymi duszami chodziliśmy z zebrania na zebranie coraz bardziej otępiali i zrezygnowani. Kolega, który pracował w wydziale śledczym, powiedział, że taka rezygnacja powstaje w samotności w celi, zwłaszcza w pierwszej fazie śledztwa. Wydaje się, że choć na wolności i wśród głośnego tłumu, byliśmy równie samotni jak w celi. Jeśli nic bardziej.

Daleki, nieprawdopodobny jak kometa, która, jak kiedyś wierzono, zapowiada nieszczęście, wydawał się teraz list z Lusznji. Gdzie był teraz? W której szufladzie archiwum? A długa suknia prezenterki, powód fatalnego listu, w której szafie wisi?

Gdyby ktoś wtedy powiedział albo epokę wcześniej, że za sprawą listu, z którego dyrektor generalny zartował przy kawie tamtego ranka, pewnego dnia zostanie zwolniony z pracy, wszyscy pękaliby ze śmiechu. Ale oto nadeszła godzina, kiedy tak się stało. I nikt nie był zdziwiony. A nawet ogarnęło wszystkich uczucie ulgi. Wreszcie wrzód pękł. Uspokoją się w końcu wszyscy, uspokoi się także on sam, bo najgorszą karą, jaka może spotkać członka Komitetu Centralnego, jest przeniesienie. Wielkiego szefa przeniesiono do miasteczka N. na stanowisko kierownika zakładu usług komunalnych. Nie ma tak źle, słychać było głośy. Samochód ma, gruchot, bo gruchot, ale mimo wszystko samochód. Ostatecznie to sto razy lepsze niż ten wyniszczający strach.

Rzeczywiście można było myśleć w ten sposób, tym bardziej że nawałnica oddaliła się od Radia i Telewizji i ze zdwojoną siłą uderzyła we wszystkie instytucje kultury. Powiedziano, że wszędzie popelniono kardynalne błędy, wszędzie załagał się liberalizm: w książkach i czasopismach, w filmach, w Związku Pisarzy i Artystów...

Fanfary orkiestry przerwały tok moich rozmyślań. Przez jakiś czas wydawało mi się, że muzyka ucichła, aby po chwili zagrznieć jeszcze bardziej ogłuszająco. Żadnej przerwy jednak nie było. To było tylko wrażenie spowodowane być może tym, że zaprzątnięty odtwarzaniem tego, co działo się w Radiu i Telewizji, całkiem bezwiednie wchłonałem tę muzykę i przeniosłem ją do tamtych wydarzeń, aby jej wściekle i złowrogie dźwięki towarzyszyły tamtemu rozgorączkowanemu szaleństwu.

Wir wciągał po kolei pisarzy, ministrów, idee uznane za prawicowe, filmy, wysokich urzędników, sztuki teatralne. Pośród powszechnego chaosu po raz pierwszy pojawiło się wyrażenie „prawicowe odchylenie w kulturze”, a zaraz potem słowa jeszcze bardziej złowrogie „grupa antypartyjna”.

Na tle sytuacji w stolicy warunki, w jakich znalazł się były dyrektor generalny Radia i Telewizji w miasteczku N., przez wielu określane jako poniżające, teraz wydawały się sielanką. Odpowiadać za malarzy pokojowych, naprawę domowych zlewów i umywalk, za stan publicznych toalet — to prawdziwa oaza spokoju w porównaniu do tkwiących w oku cyklonu

sektorów ideologii i sztuki. Na pewno byli tacy, którzy zazdrościli mu skrycie...

Ale ta sielanka nie trwała długo. Pewnego dnia do N. przybył wysłannik z Tirany, aby wziąć udział w zebraniu miejscowej podstawowej organizacji partyjnej, do której teraz należał były szef Radia i Telewizji. Co macie do powiedzenia Partii w świetle nowych wydarzeń?

Zebranie, na którym stracił wszystko, co mu jeszcze pozostało - członkostwo w Komitecie Centralnym, legitymację partyjną, stanowisko dyrektora służb komunalnych i samochód - nie trwało długo. Czy poczuł ulgę, kiedy burza się już przetoczyła i rankiem następnego dnia stawił się do pracy jako niewykwalifikowany robotnik zakładu usług komunalnych, w starym drelichu, w kapeluszu z gazety na głowie, takim, jaki nakładają malarze, aby wapno nie poplamilo im włosów? Nikt nie mógł tego wiedzieć, ponieważ od tego dnia nikt już z nim nie rozmawiał. Robił to, czego od niego wymagano, raz pracował jako malarz, innym razem pomagał przy układaniu kafelków w łazience, w kapeluszu z gazety stale spryskanym wapnem, zamknięty w sobie i bezimienny.

W końcu jednak, choć z pewnym opóźnieniem, osiągnąłby niewątpliwie spokój, ów senny spokój, kloty dawały wiadra z farbą, białe ceramiczne kafelki,

a zwłaszcza głucha anonimowość. Dlatego musiało być dla mego prawdziwym szokiem, gdy któregoś dnia o świcie obudziło go walenie do drzwi mieszkania, kiedy przyszli go aresztować. Było mu pisane przeżyć strach na nowo właśnie wtedy, kiedy wydawało się, że już niżej nie może upaść, ponieważ sięgnął dna przepaści.

Wydawało się, że pytanie „dlaczego?“, owo przekłete pytanie stale prześladowające go, odkąd zaczął się jego upadek aż do dnia, w którym założono mu kajdanki, teraz doczeka się odpowiedzi. Ale odpowiedzi nie było, a wszystko wokół niej zamgliło się jeszcze bardziej w trakcie śledztwa i w samotności celi. Odpowiedzi nie było także wtedy, kiedy odczytano akt oskarżenia, a potem padły słowa ciężkie jak ołów: „piętnaście lat więzienia“.

Po tym wszystkim musiał wreszcie odczuć ulgę. Prawdziwą ulgę, niczym już niezmaconą, o smaku zbliżonym do szczęścia... ponieważ me mógł znać bezimiennego czarnego szybu w kopalniach chromu. A w chwili, kiedy w półmroku nieznana ręka pchnęła go tam, nie miał czasu pomyśleć o niczym. Upadek był tak szybki, że zabrakło czasu na pytania, dylematy czy skruczę. Może z krzykiem odszedł z tego świata, z krzykiem instynktownym, podobnie jak instynktownie rozrzucił ramiona w próżnym wysiłku, aby złapać równowagę na skraju przepaści. Ale tego rozpaczliwe-

go rozpostarcia ramion, mglistego wspomnienia, wydobytego przez instynkt samozachowawczy z głębin epok albo z dawnych legend, w których ludzie mogą latać jak ptaki, żadne ludzkie oko nie widziało. I może właśnie ten brak świadków nadawał jego upadkowi wymiar nierealny, zbliżając go do upadku do piekieł albo do podziemnego świata, jak powiada stara baśń.

Ale czy znalazłyby się orły, aby ciebie wynieść z powrotem na powierzchnię? A nawet gdyby się znalazły, czy nie powróciłbyś tu zamieniony w szkielet?

## 12

Orkiestra nadal grata radosne marsze. Przed trybuną maszerowali górnicy w plastikowych kaskach, które sprawiały, że wyglądali jak karły. Może są z kopalni chromu, pomyślałem. Tyle razy usiłowałem wymazać tę historię z pamięci, ale powracała do mnie jak bumerang. Nie byłem zapewne jedynym, który setki, może tysiące razy zadawał sobie pytanie, czy rzeczywiście nadszedł wtedy list z Lusznji, czy też gdzieś ktoś go sfabrykował i skrycie wrzucił pewnego pięknego dnia do skrzynki na rogu ulicy?

Kampania czystek w armii, która rozpoczęła się po czystkach w kulturze, przebiegała podobnie: mówiono,

że powodem był przejazd czołgów przed komitetem obwodowym Partii. Natomiast znak do rozpoczęcia czystek w sektorze gospodarczym dała garść rudy. Rudy o podejrzanym blasku potwierdzającym sabotaż. Tę garść rudy, która podobnie jak długa suknia prezydentki i jak plan ćwiczeń wojskowych pociągnęła za sobą korowód trumien, ktoś zaniósł do Komitetu Centralnego.

Dość, nakazałem sobie kilka razy w duchu. Nie chciałem już więcej wspomnień, chciałem zostać jedynie ze swoim smutkiem. Ale moje myśli nie mogły się od nich oderwać. Od sukienki, od wojskowego planu, od rudy o podejrzanym blasku. Bo cóż mogło w niej lśnić jak nie światło tamtego świata?

To, co się działo w naszej świetlicy, wśród różnych ludzi o różnych losach, powtórzyło się w wielkim wymiarze w skali narodu. Wojskowi, którzy jeszcze do niedawna przyglądali się gromieniu artystów i naśmiewali się z nich („ech, ci artyści, niepoprawni liberałowie, zawsze rozpieszczani, patrzcie teraz, jak trzęsą portkami”), sami zakolysali się niczym trzcina, kiedy nawałnica ruszyła na nich. Następnie ekonomiści, którzy śmiali się z pewnych siebie wojskowych, doświadczyli tego samego. Ci, którzy pracowali w pozostałych sektorach, przestali się przyglądać i ironizować i przerażeni czekali na swoją kolej.

Jak nawracające fale gorączki następowały po sobie znane już postawy i zachowania: wybuchy gniewu, rezygnacja, próby usprawiedliwiania braku odwagi, czolobitność, obrzucanie biotem innych („nie ma dymu bez ognia, inaczej nie dostaliby tak ciężkich wyroków”). We wszystkich aptekach zabrakło Valium (teraz szukanie go w aptece budziło podejrzenia), małżeństwa się rozpadały, ludzie popadali w depresję, tracili zmysły.

A wszystko to przepowiedział zgubny horoskop: martwa natura z długą suknią prezenterki, wojskowy plan i garść rudy. Ale na płótnie z martwą naturą było jeszcze miejsce: dla Suzany.

Znowu zacząłem jej szukać wśród morza ludzkich ramion, w końcu znalazłem. Spod jakiego znaku jesteś? Ukochana, nieszczęsna moja!

Gdyby to wszystko wydarzyło się przed wielką kampanią czystek, a więc gdyby komuś przyszło do głowy, że zmiana stylu ubierania się i sposobu bycia córki jednego z dygnitarzy partyjnych zapowiada polityczną burzę, i gdyby ten ktoś zaczął doszukiwać się w starożytnych mitach Bóg wie jak straszliwych podobieństw, wzięto by go za pomyłonego, którego należy wysłać do psychiatry, albo nawiedzonego historyka, który szuka podniet tam, gdzie ich nie ma, i czerpie przyjemność jedynie z tragizowania rzeczy.



Ale kampanie czystek trwały nadal i choć z czasem zatarły się w pamięci, to, podobnie jak rzeki, które po powodzi zostawiają ślady wszędzie tam, gdzie płynęły, w każdym z nas osadziły całe warstwy biota. Wystarczyło byle napomknienie, wcześniej niezauważalne, aby zasiać trwogę w umyśle i sercu. Niepowstrzymaną lalą ożywiały się wówczas wszystkie uśpione upiory, prawie przesądne zwracanie uwagi na symbole, chora czujność, a potem po kolei podejrzenia, przeczucia, koszmary.

Zatem to nie książka Gravesa ani fakt, że ojciec Suzany był jednym z przywódców, ani też inne przypadkowe podobieństwa zbudowały w moim umyśle analogię do antycznego dramatu. Zrodziła się ona po prostu z nieszczęść, które kilka lat wcześniej sprowadziła na kraj tyrania, i nie mogliśmy się uratować, ani ja, ani nikt inny. Gdyby nie te wydarzenia, zapowiedź Suzany o zmianie stylu życia byłaby przyjęta z aprobatą: młoda dziewczyna przed zaręczynami pragnie zadbać o swoją reputację.

Głowy na trybunie zafalowały i przez tłum przebiegł szmer: „co, co się dzieje?”. Uplynęło kilka minut, nim dowiedzieliśmy, że trybunę D albo B opuścili dyplomaci z krajów bloku wschodniego. Taka sytuacja powtarzała się co roku, gdy tylko wśród defilujących wylaniał się pierwszy plakat przeciwko

Układowi Warszawskiemu. Kilka minut później, kiedy w rękach wysokiego chłopca pojawił się plakat ze słowami „Teoria trzech światów - teorią reakcyjną”, zaczęli wychodzić także Chińczycy,

Głuchy śmiech przebiegi po trybunach.

Plakaty, które oburzyły dyplomatów bloku wschodniego, znajdowały się teraz na wysokości naszej trybuny, ale ja martwym wzrokiem czytałem następnę: „Życ jak w obłączeniu!”, „Dyscyplina, ćwiczenia wojskowe, praca produkcyjna!”.

Kątem oka obserwowałem gości wokół siebie. Który z nich również powinien opuścić trybunę? Ponieważ dla każdego powinna wybić jego godzina zejścia z łoża honorowej...

Spojrzałem w kierunku trybuny B, starając się po raz ostatni odszukać wzrokiem Th. D., gdzie jak przypuszczałem, powinien się znajdować. Czy jego czas nadszedł? Może jego godzina już wybiła, tyle że on tego nie zauważył?

A ty? - zapytałem siebie. Ty, który uważasz, że możesz osądzać innych, czy znasz swoją godzinę?

Błysk spinki we włosach Suzany skierował znowu ku niej moje myśli. Nie, w żadnym wypadku to nie mogła być korekta moralnego wizerunku, hipokryzja na krótko przed zaręczynami albo rada Naczelnego Wodza udzielona ojcu: „Trochę więcej skromności,

choćby i na krótko. Dużo plotek krąży ostatnio o naszych dzieciach".

Wyraźniej niż Kasandra widziałem trumny i okrwawiony miecz kata nad ołtarzem.

Portret Stalina był coraz bliżej nas, kołysząc się lekko w rytm kroków tych, którzy go trzymali. Jego oczy z wewnętrznym, tajemniczym uśmiechem, wypełniały horyzont. Dlaczego poświęciłeś swojego syna Jakowa?...

Nie mogłem oderwać wzroku od wielkiego płótna łopoczącego na wietrze. Twojego syna, Jakowa - powtórzyłem — niech spoczywa w pokoju!

Zdziwiłem się, skąd się u mnie wzięło to stare wyrażenie, nieużywane już przez moje pokolenie. Dziesiątki podobnych wyrażień, subtelnych, współczujących, które przypominały o tymczasowości życia, wyrzucono z codziennego życia. Podobnie jak dzwony, modlitwy, świece, a wraz z nimi miłosierdzie, skruchę... Mój Boże, wszystkie odeszły, żeby tym łatwiej zatriumfowało zło.

Jakowa, twojego syna, niech spoczywa w pokoju, dlaczego poświęciłeś?... Marszałkowie codziennie prosili, abys zmienił swoją decyzję. Wymiana jeńców jest rzeczą zwyczajną na wojnie, a tym bardziej w przypadku twojego syna. W pierwszej kolejności dla twojego duchowego spokoju i dla ogólnego dobra.

Ale ty powiedziałaś: nie, i jeszcze raz, nie! O czym wtedy myślałaś, sfinksie?

Portret ojca Suzany, chyba dziesiąty z kolei, pojawił się niedaleko portretu Stalina. Jego spojrzenie mówiło: Nigdy nie dowiesz się, dlaczego Suzana podjęła taką decyzję. Możesz dostać się do jej pochwy, nawet do jej serca, ale nigdy nie zrozumiesz tego, o czym ona sama nie ma pojęcia!

Zwarte szeregi uczestników pochodów nie miały końca. Brakowało jedynie portretu Agamemnona. Członka Biura Politycznego, towarzysza Agamemnona z Atrydów. Ten wielki mistrz każdego kolejnego ofiarowania, jego pomysłodawca i klasyk znalazł się niewątpliwie najlepiej ze wszystkich na tej robocie.

## 13

Pochód dobiegi końca. Zgodnie z tradycją zamykały go instytucje kulturalne... opera i balet, wytwórnia filmowa, Uniwersytet Tirański. Schowałem się za czyimiś plecami, kiedy na wysokości trybuny zobaczyłem kolegów z Radia i Telewizji. Potem przedfilował personel techniczny, charakteryzatory, prezenterki z wieczornych wiadomości w długich sukniach jak westalki...

Kilka minut później wszystko się skończyło. Kiedy ostatnie szeregi rzuciły pożegnalny okrzyk entuzjazmu i

ruszyły dziarskim krokiem w stronę placu Skanderbega, trybuny zaczęły pustoszeć szybciej, niż się spodziewano, Zaproszeni goście schodzili po schodach z wyrazem zakłopotania na twarzach, jakby wracali z długo oczekiwanego przyjęcia, z rozprawy sądowej albo miłosnej schadzki. Dwa-trzy razy mignęła mi przed oczami Suzana, ale znowu ją zgubiłem.

Wkrótce znalazłem się na Wielkim Bulwarze w tłumie sunącym powoli w słońcu, które nagle jakby zaczęło przypiekać. Kawalki podartych sztucznych kwiatów wały się wszędzie. Strzępki baloników leżały wdeptane w kurz. Wielkie portrety, o które nikt już nie dbał, sterczały krzywo, poupychane byle gdzie, oczy patrzyły na boki albo, co gorsza, w ziemię. Wszędzie czuło się zapach potu zmęczonych ciał.

Dwa tysiące osiemset lat wcześniej greccy żołnierze wracali zapewne w takim samym stanie z miejsca ofiarowania Ifigenii. Z twarzami pobladłymi od widoku krwi na ołtarzu i z pustką w sercu, która nigdy się nie wypełniła. Nie odzywali się do siebie, a w głowach płątały się bolesne myśli. Wojownik Teukr, który postanowił zdezerterować przy pierwszej okazji, teraz zmienił decyzję. Idomeneuszowi, jego towarzyszowi broni, równie obca wydaje się myśl, aby zwrócić słowo swojemu dowódcy, kiedy będzie wobec niego brutalny. Natomiast Astyanaksowi, który planował oddalić się

bez rozkazu do swojej narzeczonej, ta idea, która, im bardziej płonął z miłości do swej wybranki, tym wydawała się łatwiejsza, teraz zdaje się niemożliwa. Coś lekkiego, radosnego, co zmniejszało trochę napięcie wojny: żarty, naruszenia dyscypliny, beztrioskie wieczory z kobietami lekkich obyczajów - teraz niebezpiecznie się zachwiało. Jeśli wielki wódz Agamemnon poświęcił swoją córkę, to dla nikogo nie będzie litości. Teraz miecz został splamiony krwią...

I nagle wydało mi się, że odkryłem tajemnicę. To uczucie było tak silne, że zatrzymałem się i zamknąłem oczy, jakby widok świata zewnętrznego mógł zmącić znowu to, co z trudem zaczęło się przede mną odsłaniać... Jaków - niech spoczywa w pokoju - został poświęcony nie po to, aby podzielić los zwykłego rosyjskiego żołnierza, jak utrzymywał dyktator, ale po to, aby dać Stalinowi prawo do zadania śmierci każdego. Podobnie jak Ifigenia, która dała Agamemnonowi prawo do rzezi...

To nie było ani przekonanie, że ofiara uspokoi wiatry, które przeszkadzały flocie, ani moralna zasada równości synów Rosji. To była po prostu cyniczna kalkulacja tyranów.

Wiem, czego chcesz, wiem, do czego jest ci potrzebna Suzana... Nie splamisz miecza krwią, to wiem, ale

wiem również, że taki, lśniący i czysty, może uderzyć z ogromną siłą.

Chyba zrozumiałem to już wcześniej. Od momentu, kiedy Suzana oznajmiła mi swoją decyzję, krok po kroku zbliżałem się do prawdy. Żądania jej ojca wydawały się mało istotne, ale okazały się ostateczne. Choć bez rozlewu krwi, uprawniały do porównania z najbardziej krwawym ofiarowaniem. Przynosiły bez wątpienia o wiele bardziej tragiczne następstwa niż wszystkie trumny, jakie zrodził list z Lusznji, garść lśniącego minerału albo nieszczęsny wojskowy plan... Czy tysiące głuchych wieczorów w rodzinach to mniej niż stos trupów? I dziesiątki zatrutych listopadów, i wieczornych rozmów zduszonych jak trującym gazem, i brudny śnieg, i kwaśny zapach zimy, i niebieskie ławki wokół basenu niepotrzebne nikomu, i studenckie kafejki bez życia, i tanga bez muzyki, zegary z brązu wybijające północ w pustych korytarzach, czesanie włosów przed lustrem, i biżuteria, i futra, i przeterminowany puder...

Suzana była zwiastunem nieodwracalnego wysychania życia. Życia, które jak kaktus na pustyni z trudem chroniło ostatnie krople życiodajnego soku.

Był as jednocześnie trucizną i zarazą! — krzyknąłem w duchu. Twoja przemiana była dalszym ciągiem kampanii wywołanej listem z Lusznji, garścią rudy i planem przemarszu kolumny. I ani Kalchas nie dal

takiej rady, ani ojciec Suzany sam tego nie wymyślił. Ktoś inny, Wielki Wódz, ten, który wyznaczył go na następcę, musiał tego od niego zażądać. („Mój ojciec jest gołębiego serca - powiedziała Suzana - nigdy by mnie nie skrzywdził”).

Możę Wódz zrozumiał jego prawdziwą naturę i znalazł sposób, aby mu powiedzieć: wybierz jeden z dwóch mieczów. Jeśli nie jesteś zdolny użyć zakrwawionego, weź czysty. I natychmiast, pókim żyw, na moich oczach pokaż, co potrafisz! Uderz! Czysty, jeśli wiesz, jak go użyć, może być straszniejszy.

Zatem ten drugi miecz zwiastowała Suzana. Umęczony szaleństwem zakrwawionego miecza kraj czekał na nowe uderzenie.

Boże, chroń ten kraj przed wynaturzeniem! - krzyknęłam znowu. Chroń przed następną zgubą! Bo tego, czego me dokonał upał i azjatycki kurz, zrobimy własnymi rękami, sobie nawzajem.

Transparenty nad głowami zmęczonych manifestantów chwiały się we wszystkie strony. „Jeszcze bardziej zrewolucjonizujemy życie!”, „Nauka, praca produkcyjna, ćwiczenia wojskowe!”.

Widziałem te slogany podczas pochodu - pomyślałem. I przez ostatnie lata stale były obecne. To one miały zastąpić miłosne westchnienia, przejrzysty smutek zmierzchu i biżuterię, i muzykę taneczną, i koron-



kową bieliznę. Praca produkcyjna, ćwiczenia wojskowe, studiowanie dzieł Wodza... A ponieważ ich nie zastąpiły, rozpoczyna się nowa, wielka kampania.

„Pracować, żyć, myśleć jak rewolucjoniści”. „Zrewolucjonizować wszystko!”...

Ile lat takiego wyjaławiania trzeba, aby zamienić życie w ugór? A wszystko tylko z jednego powodu: takim zwiędłym, skarłalym życiem łatwiej sterować.

W skroniach waliło mi jak młotem, ale nie przerywałem chaotycznego biegu myśli. Wielki Boże, jak można zrewolucjonizować łono kobiety? Bo jeśli zaczynać pracę od podstaw, zacząć trzeba tam, u źródła życia... Trzeba zmienić jego wygląd, czarny trójkąt powyżej, wilgotną linię warg... Wyedukować je na nowo, wyrzucając przeżytki przeszłości, orgazm, pamięć tysięcy lat rozkoszy.

Roześmiałbym się głośno, gdyby mi było do śmiechu.

„Rewolucyjna triada: nauka, praca produkcyjna, ćwiczenia wojskowe”. A z czarnym kobiecym trójkątem co się stanie? Popękana, wyschnięta, nieszczęsna delta, z rzadkimi źdźbłami pustynnej trawy.

Nigdy jeszcze nie było takiego zgęszczenia hasel. A oto i najsłynniejsze: „Obronimy zasady marksizmu-leninizmu, nawet gdybyśmy musieli jeść trawę”.

Jesteś ślepy - wyrzuciłem sobie. Miałaś prawdę na wyciągnięcie ręki, ale ty szukałaś znaków sprzed trzech

tysięcy lat. Grzebałeś w książkach, wysilałeś rozum, aby znaleźć to, czego nic trzeba było szukać,

A co potem? — postawiłem po chwili pytanie. Jaki błąd popełniłem? Sygnał, jaki dała mi Suzana, był dokładny i wyraźny, i to było najważniejsze. Zakrwawiona Ifigenia zaś niczemu nie przeczyła swoim świadectwem, wręcz przeciwnie!

Wszystko się dzieje jak kiedyś, tyle że z większym

okrucieństwem. Z wybrzeży Aulidy greckie statki ruszają  
ku Troi. Jeden po drugim podnoszą kotwice  
zrzucając wielkie kamienie w spienioną wodę.  
Jedna po drugiej pękają cumy jak ostatnie nadzieje.  
Wojna trojańska się zaczęła.

Teraz nic już nie stoi na przeszkodzie, by ostatecznie  
uschło życie.

*Tirana 1985*